

566.0 6/167

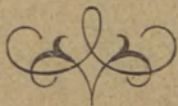
Miłość braterska.

Powieść historyczna z XV wieku

przez

milie

Ł. z Kurowskich Puffke.



Poznań.

Nakładem i drukiem Fr. Chocieszyńskiego.
1905.

414c

447835

I

K-57 / 5660 b.
31. VIII / 200



ROZDZIAŁ I.

Grób i zające.

— Największy już był czas, abym o wyczyszczeniu tego familijnego grobu pomyślała — mówiła pani Michelet do dwunastoletniej swej córki Amelii. — Patrz, ile tu wiatr zeschłych liści przeszłej jesieni napędził. I na pajęczynie i kurzawie też tu nie zbywa. Księżna pani bardzo wprawdzie dobra; byłoby jej jednak niemiło, gdyby w rocznicę urodzin lub śmierci małej księżniczki Izabelli grób w takim zastała nieporządku. Szczęście, że te dwa dni przypadają w pięknej porze roku. Wymieć-no czysto każdy kącik, Amelio. Oczy twoje lepiej w zmroku widzą niż moje. Pokaż mi też, gdzie jeszcze pajęczynę na ścianach albo na suficie spostrzeżesz.

Miejsce, w którem odbijały się głucho te wyrazy, wcale nie było powabnem. Grób familijny książąt Nemours znajdował się pod zamkową kaplicą w Karlat (Carlat), małym francuzkiem miasteczku. Sklepiony taki grób, pod ziemią, małym, wysoko w murze umieszczonem i kratami opatrzonem okienkiem, słabo oświetlony, nierównie okropniejsze na nas wywiera wrażenie niż cmentarz strojny w zieloną sukienkę, strojny złożonemi pomnikami miłości prawdziwej czy udanej, zawsze weselszą przybierający postać, szczególnie kiedy wędrujące na błękitnem niebie słońce swem gorejącem światłem go opromieni.

Zamiast oddać ziemi to, co z niej pochodziło, bogaty w mienie i zaszczyty, trwoni tysiące, aby swoją i krewnych ziemską powłokę wydrzeć zgniliznie. Albożto ołów i marmur, złoto i srebro, w które ulubieniec fortuny zmarłe swe ciało składać każe, nie są również ziemią taką, jak ta, w której łonie biedny człowiek snem wiecznym spoczywa?

Długi rząd rozmaitej wielkości trumien z marmuru i ołowiu świadczył, że ród książąt d'Armagnac dawny i bardzo był rozgałęziony.

Sławni bohaterowie, mężowie stanu, niewiasty, dziewice, młodzieńcy i słabe dzieci oczekiwali tu, w szczelnie zamkniętych trumnach, dnia zmartwychwstania. Imiona, godności, dzieła, jako i urodzenia i śmierci data, wyryte złotem lub srebrnymi napisy, świeciły w ciemności. Oni zaś wszyscy, mimo sławnych imion, starożytnego szlacheństwa, wysokich dostojęństw, obszernych majątności, walecznych czynów, schylili kornie swe czoła przed zimną, nieubłaganą śmiercią, której nikt ze śmiertelnych uniknąć nie może.

Najmniejsza trumnienka, zawierająca zwłoki młodocianej księżniczki Izabeli d'Armagnac, zajęła tu także między przodkami miejsce. Wieniec kwiecisty, złożony ręką macierzyńską na wieko, ten sam los spotkał, jakiemu uległa spoczywająca w trumnie księżniczka. Zwiędł, zbladł, zbutwiał.

Mężczyzna, mieniający się człowiekiem siły, unika tak smutnego widoku; kobieta zaś, słaba istota, zdobi groby ukochanych osób, odświeżać lubi bolesną, jeszcze niezagojoną ranę, wspomnieniem rozłączenia.

Z tej to przyczyny tylko księżna Jolanda odwiedzała po dwakroć w jednym roku grób książęcy, płakała swej córeczki i dowody swej miłości w kwiatach jej składała.

Kiedy pani Michelet obmiatała pajęczynę po ścia-

nach, szeleściły zeschłe liście pod miotłą dziewczynki. Kurz gęsty zappełnił sklep. Nagle Amalia wydała krzyk trwogi, który się kilkakrotnie i przerażająco odbił pod sklepieniem. Miotła wypadła z rąk drżących dziewczynki.

— Cóżto? — zapytała niemniej wystraszona matka, przybiegając do córki, patrzącej w najciemniejszy kąt sklepu. — Mówże! — nalegała pani Michelet z wzrastającym strachem.

— Ja coś widzę! — odpowiedziała przez zęby ściśnięte Amelia — tam w tym kącie... tam siedzi mała księżniczka!

— Przeżegnaj się dziecko, wezwij imienia Najświętszej Panny — mówiła pani Michelet, czyniąc sama to, co zalecała robić swej córce — a strach przeminie. Biedna księżniczka nie tak łatwo by się z ołowianej trumny wydobyła, a zresztą w jasny dzień, gdzieby tam duchy się pokazywały.

— Ja się przeżegnałam nie raz, ale dwa, a to jak siedzi, tak siedzi — mówiła drżąca Amelia. — Ja przecie wyraźnie widzę głowę dziecięcą i przy niej dwa rogi. Teraz się rusza. Słyszysz matka szelest? O Jezus, Marya!

Jeżeli kto utrzymuje, że ze strachu ludzie ślepną lub głuchną, to nie prawda; ja utrzymuję, że lękliwy widzi rzeczy, które wcale nie istnieją i słyszy, choć nie ma co słyszeć.

I tu ten sam był przypadek. Suche liście szelest robiły za najmniejszym powiewem wiatru lub poruszenia; prawda, że w kącie strach siedział jeszcze.

Amelia z krzykiem i matka przerażona strachem córki, razem uciekały. Obiedwie wbiegały na schody wiodące do kaplicy, gdy wtem na ich wykrzyki przerażenia odpowiedział wesoło wyśpiewujący głos. Uspokoiły się matka z córką.

— Hugo! Hugo! — zawołała pani Michelet roz-
weselona — czy to ty? znijdźże tu prędko do nas.

— Jesteście to tam mamuniu? — odpowiedział
wesół głos chłopca i czarnemi lokami otoczona głowa
ukazała się za kratami okienka. — Ja was właśnie
szukam. Chodźcie-no co tchu. Wasz brat, nasz
wuj przybył na króciuteńki czas i chce pomówić
z wami.

— Lecz znijdź tu tylko — powtórzyła rozkaz
pani Michelet, już teraz odważniejsza.

Zniknęła głowa z okienka i po krótkiej chwili
zbiegał Hugo po kamiennych schodach.

— Otóż jestem, mamuniu — rzekł chłopiec, ma-
jący około lat trzynastu, ale na wiek swój nadzwyy-
czaj wyrosły i silny.

— Przeżegnaj się i poleć się opiece wszystkich
Świątych — rozkazywała synowi pani Michelet —
a potem zajrzyj, co tam tkwi w tym kącie. Twoja
siostra upatruje tam coś osobliwszego. Bądź tylko
ostrożny i uciekaj co tchu, gdyby jakie niebezpie-
czeństwo albo coś okropnego pokazać się miało.

— Tam w tym kącie? — pytał Hugo. — Ja
nic nie widzę. Ach! tak, coś, jakąś kupkę. Może
lis albo młody wilk dziki kot, albo inne jakie zwie-
rzę tam przycupnęło? Dajcie mi tu miotłę, mamu-
niu; wyjdźcie z Amelką do kaplicy, ja tu zaraz zo-
baczę, co to jest. Uciekajcie, mamuniu, Amelko!
bęć! bęc! bęc!... Masz, nie raz, nie dwa, nie trzy...
bęć!... To się nie rusza; ja biję, a biję, to suche jak
grochowiny. Oho, ho, to tu nie ma żadnego niebez-
pieczeństwa.

Hugo rzucił na ziemię miotłę, śmiało poszedł
do kąta i sięgnął po stracha, który tak jego siostrę
przeraził.

— Hm! — gadał do siebie — co też to jest?
to coś osobliwszego! muszę to obejrzyć przy świetle.

Chłopiec poszedł pod światło okna i zawołał z niemałym zadziwieniem:

— No, zgadnijcie mamusiu, co mam w ręku? Prawda, że to coś, co już nie żyje, ha, ha, ha, trzy nieżywe zające. Ale jakie zeschłe... lekkie jak piórka. Jakim u kata sposobem one tu weszły i po co?... Weźcie je tylko w rękę, mamuniu. Nic, tylko skóra i kości. Musiały zdechnąć z głodu.

— Biedne zwierzątka — mówiła z żalem Amelia i ośmieliła się położyć rękę na jednego zajaca. — Ile to i jak długo cierpieć musiały, nim śmierć zakończyła ich udęczenie. Jak się naskakać musiały do okna... Ach, czemuśmy prędzej i częściej tego sklepu nie wymiatały. Jak mi ich żal, ani tego wypowiedzieć nie mogę.

— Tak, głód to okropna rzecz — odpowiedział Hugo, również wzruszony — a pragnienie jeszcze gorsze. Sto razy lepsze ugodzenie miecza w samo serce, niż głód.

— Ostatnia zima — odezwała się pani Michelet — była niezwykle długą, ostrą i śnieżną. Tu się przed zimnem schroniły biedne zwierzęta i wyjść już nie mogły.

— Jeszczeby można jako tako z nich użyć skórek — rzekł Hugo. — Wiecie co mamusiu? wyrzucę te zające oknem na ogród, a potem pójdę po nie. Przecie za strach musimy mieć choć aby coś.

— Jakiś ty głupi! — odpowiedziała matka. — Zapomniałeś to, że nasz książę za zabicie albo kradzież zwierzyny daleko ostrzej karze, niż za zabicie albo odarcie człowieka? Nie byłeś to naocznym świadkiem, jak nieszczęśliwy Roulet żywcem na grzbiet dzikiego jelenia przywiązany został, a stary Bertold na śmierć różgami zasmagany, że trzy kuropatwy złapał w sieć i je zjadł? A my mamy dla trzech zagłodniałych zajęcy popaść w nieszczęście?

Niechże ta myśl daleką będzie od nas. Odniesiemy panu to, cośmy znaleźli i opowiemy jakim sposobem. Może książę jakich środków użyć każe, aby podobne przypadki zimą się nie wydarzyły, a tak jeszcze coś dobrego zrobimy.

— O, mamusiu, jak jesteście roztropni — przyznawał Hugo zawstydzony.

— I dobrzy — dodała Amelia.

Po tych uwagach opuściła matka grobowiec z dziećmi niosącemi zające, a kiedy z kaplicy na dziedziniec zamkowy wychodzili, właśnie Jakób d'Armagnac, książę Nemours, wracał z polowania.

Było to przy końcu marca 1473 r. Natura już w całej swej okazałości wdzięczyła się. Migdałowe, brzoskwiniowe, aprykozowe drzewa przekwitały, a wiśniowe i inne drzewa owocowe w kwiaty się na dobre stroiły.

Francya wtedy jeszcze nie była tem potężnem, a groźnem dla swych nieprzyjaciół państwem, jakim się dopiero stała, gdy jeden nad całą zapanował władzca.

Wówczas kilku panów, lubo uznających zwierzchnictwo króla na sobą, z nieograniczona władzą w swoich granicach rozkazywało i gorącym życzeniem pałało, pozbyć się czempredzej i tego poddaństwa. Najpotężniejszy i najgroźniejszy z tych hołdowników był książę Burgundyi; mniej niebezpieczni króla nieprzyjaciele byli to: rodzony brat jego, Karól francuzki, książęta Bretanii, Burbon, Alençon, Nemours i Lotaryngii, jako też kilku hrabiów i innych znakomitych panów, którym władza królewska cierpieniem w oku była.

Kilka lat po wstąpieniu na tron Ludwika XI sprzysięgli się wyżej wymienieni panowie przeciw swemu królowi. Śmiałość ich dochodziła do tego stopnia, że z werbowanem wojskiem napadli królew-

skie wojsko i kraje, nawet odgrażali się napaścią na Paryż.

Ludwik XI widział się wtenczas otoczony ze wszech stron otwartymi i skrytymi nieprzyjaciołmi. On sam przyznawał sobie, że miłości swoich poddanych ani posiadał, ani na nią zasługiwał; bo historia opisuje go słusznie jako człowieka bez serca, fałszywego, wiarołomnego i okrutnego księcia, lubo mu przypisuje zasługę zjednoczenia pod jedno berło poćwiartowanej Francyi i tym sposobem położenia kamienia węgielnego teraźniejszej jej potęgi.

Bronił się Ludwik XI licznym nieprzyjaciołom wytrwale i uporczywie. Nie tyle siłą zbrojną, jak raczej podstępem, przebiegłością, pozornem pojednaniem i sztuką rozsiewania niezgody pomiędzy swymi przeciwnikami, wychodził król zwycięzcą ze wszystkich zaczepk.

Znając czarodziejską siłę złota, rozrzucił je skąpy z natury Ludwik XI pełnemi garściami, ażeby pozyskać i przeciągnąć na swoją stronę najzaufańszych radzców, najwaleczniejszych wojowników i najwierniejszych sługi swoich potężnych nieprzyjaciół.

Jakób d'Armagnac, książę Nemours, podniósł pierwszy raz, jakeśmy to już powiedzieli, w r. 1465 swą rękę i siłę przeciw swemu ukoronowanemu panu. Ułaskawiony wówczas, w r. 1470, ponowił swe usiłowania z równie niefortunnym skutkiem. Odsądzony od posiadania swojego mienia, od wolności i skazany na śmierć, uszedł znowu przed karą najświęciej zaprzysiężonem zapewnieniem, że się podda dobrowolnie powyższej karze, gdyby raz jeszcze ważył się dopuścić zbrodni złamania danego słowa najjaśniejszemu panu.

Z tego obrazu widzi czytelnik, że pani Michelet słuszne miała powody lękać się gniewu swego pana, na któryby się wystawić musiała, zatrzymując zeszlę

zające. Złożyła je tedy u nóg jego i opowiedziała, jakim sposobem do nich przyszła.

Wysłuchawszy ją książę, obrócił się do swej małżonki, pospieszającej z trojgiem dzieci na jego powitanie.

— Ha, Jolando — zawołał — czy już wiesz o nowej łapce na zające, której zawdzięczamy tak pulchną zwierzynę?

To mówiąc, podrzucił nogą zagłodzone zające ku swej małżonce.

— Zmarli nawet moi przodkowie trudnią się szlachetnem myśliwstwem rzemiosłem — mówił dalej szydlerczo — i swoich potomków obdarzają zawsze pożądaną zwierzyną.

Księżna, delikatna, blada osoba, spoglądała w milczeniu na znalezione w grobowcu zwierzęta. Zgroza ją przejmowała na ten widok i na odrażający żart swego małżonka; jednakże starała się nie pokazać po sobie swych uczuć. Tem otwar iei wyrażały książęce dzieci żal nad nieborakami z głodu zdechłemi, wyglądającymi jak mumie i litośnie na nie się wpa-trzyły.

— Widzę je, jak ze śmiertelnego strachu ska-kały i drapały się po zimnym murze — mówiła młoda, jedenastoletnia księżniczka Helena, bolesny rzucając wzrok na zwierzęta.

— O, jakżebym był chętnie wam dawał moje śniadania i kolacye — zawołał siedmioletni książę Isouard.

— A ja cały obiad — rzekł z rzewnym płaczem pięcioletni Hektor.

— Ach, jakże one musiały pragnąć jadła i wody — żałośnie mówiła Helena.

— Nie poogryzały one też w rozpacz y ołowia-nych i kamiennych trumien? — pytał Isouard.

— Albo jeden drugiego — dodał Hektor.

— Dosyc tych głupich lamentów! — zakrzyknął gwałtownie książę. — Wstydźcie się, chłopcy, wylewać niewieście łzy nad zdechłemi zającami. Jeżeli to tak dalej będzie, to moi synowie zasiądą raczej do kądzieli, niż chwycą się miecza i kopii. Jolando, chowacie tych chłopców jak słabe niewiasty. Innym je będę musiał powierzyć rękom. Pod dozorem Lerrego mają wyrastać na silnych mężów, źle im już w zniewieściałem powietrzu waszych komnat.

— Na Boga i na wszystkich Świętych — odpowiedziała przełęczniona księżna. — Nie zechcesz przecie naszych synów powierzyć nieokrzesanemu, krwią zbaczonemu, okrutnemu Lerremu? Toby tyle znaczyło, co wystawić delikatną roślinę, wyhodowaną w cieplarni, na wiatr mroźny.

— Ja to uczynię, co za dobre uważać będę — odpowiedział książę brutalnie. Wolę żadnych nie mieć, niż skarłowaciałych, zbabionych potomków mego imienia. Zbierz tych nieboszczyków, chłopaku, coś znalazł w grobie — rzekł obracając się książę do Hugona, stojącego na stronie z matką i siostrą w milczeniu. — Stój! — zakrzyknął zapamiętale, gdy się już Hugo zabierał z ziemi podnosić wyschłe zające — przychodzi mi wyśmienita myśl do głowy. Stary mój przyjaciel, książę Bretanii, przysłał mi niedawno starego, ślepego sokoła w podarunku. Za to niech odbierze odemnie w darze te zające. Ha, ha, ha, wyborny figiel. A szczęśliwy ich znalazca musi je mu odnieść, żeby mu się za nie dostała bogata nagroda od mego dostojnego przyjaciela. Ha, ha, ha, widzę już jak wytrzeszcza oczy, mój drogi przyjaciel Franciszek, na piękny mój podarek. Za dwie godziny, wyrostku, stawisz się tu, zastaniesz już w pogotowiu pismo moje do księcia. Nie potrzebujesz się spieszyć, bo, ha, ha, ha, ta zwierzyna nie zepsuje się nigdy.

Słowa te przeraziły tak księżnę, jak i panią Michelet w najokropniejszy sposób. Obiedwie kobiety pobladły i drżały widocznie. Każda z nich otwierała usta, chcąc robić księciu przedstawienia i zamykała je znowu z obawy przed nim, pragnąc tajemnie, żeby druga ośmieliła się przemówić do niego.

Zwyciężyła miłość macierzyńska. Załamała ręce pani Michelet i ze łzami w oczach rzuciła się do nóg księcia.

— Zlitujcie się, mości książę! — wołała rozdzierającym głosem. — Zostawcie mi ostatniego jedynego syna! Mąż mój zabitym został na waszej usługę; syn mój najstarszy, wysłany z poselstwem waszem, już więcej nie wrócił. Nie wydzierajcie mi, miłościwy książę, ostatniej podpory mojej starości, a Bóg litościwy to Wam sownie wynagrodzi. Macie przecie tyle ludzi na wasze rozkazy. Dla czegoż mego Hugona, nieletniego, niedoświadczonego wyrostka, wybieracie na posła waszego?

— Co pleciesz za brednie głupia babo? — odpowiedział książę z obłudną litością. — Ja życzę twemu wyrostkowi bogatej nagrody, a ty roisz sobie jakieś niebezpieczeństwa. Alboż ten tęgą chłopak miałby upaść pod ciężarem trzech zajęczych mumii? Albożby one miały podniecić chciwość leśnych złodziei? Alboż nasze lasy tak pełne są drapieżnego zwierza, żeby się lękać można ich napadu? Ha! toć zamknij w izdebce twego chłopaka i daj mu kądziel w łapę.

— Poślijcie mnie zamiast mego brata, miłościwy książę — odezwała się Amelia bojaźliwie. — Nie wiele byłoby straty, gdybym ja wrócić nie miała.

— Cóż, zgadzasz się na projekt odważnej twej siostry, chłopcze? — rzekł książę do Hugona. Chcesz, żeby słabe dziewczę cię zawstydziło?

— Poślijcie mnie, gdzie wam się podoba, mości

książe — odpowiedział z ogniem Hugo. — Gotów jestem na wasze usługi.

— Nie słuchajcie, mości książe, co dzieci moje mówią — rzekła jęcząc pani Michelet. — One nie wiedzą, o co rzecz chodzi. Ach, ani jeden nie wrócił posłaniec, któregoście do przyjaciół i sprzymierzonych posłali.

— To tylko dowodzi — odrzekł książe — że moi posłańcy byli wiarołomni i służbę moją opuścili. Dla tego właśnie spróbuję i dziecko wysłać, a spodziewam się po niem, że prędzej znajdzie drogę do domu, niż jego poprzednicy.

Tu księżna odważyła się małżonka swego na stronę doprowadzić i błagalnym przemówić do niego głosem:

— Dla waszego i waszych dzieci zbawienia, zaklinam was, odstąpcie od waszego zamiaru. Wiecie, że wszystkie wasze kroki i każdy czyn, każdy wyraz z waszych ust wychodzący, śledzą tajne szpiegi, którymi zewsząd jesteście otoczeni. Nawet w najniewinniejszem piśmie do waszych przyjaciół i sprzymierzeńców król gotów dopatrzeć złego i zgubę przyspieszyć waszą. Pomnijcie na uroczyste przyrzeczenie, książe i małżonku mój i na świętą przysięgę, złożoną w obliczu króla na krzyż w Saint-Lo.

— Ani słowa więcej, Jolando! — rzekł ostro książe do swej małżonki. — Ha! Czyby to już ks. Nemours tak dalece upadł, żeby sobie nawet niewinnego żartu pozwolić ze swoimi przyjaciółmi? Niech król dowiaduje się, co i jak robię. Natrząsam się z jego szpiegów i spodziewam się, że ich oszukam. Tak będzie, jak mówię, choćby cała zgraja oprawców Ludwika była przeciw mnie w pochodzie.

Dumnym krokiem udał się książe do swego zamku, a księżna z wzrastającą trwogą szła za nim z dziećmi.

ROZDZIAŁ II.

P o s y ł k a.

W trwożliwszym jeszcze stanie umysłu, niż księżna, wyszła z zamkowego dziedzińca pani Michelet ze swemi dziećmi. Podczas przejścia do jej mieszkania, znajdującego się w pobocznym budynku obszernego zabudowania zamkowego, przerwał Hugo głębokie, złowrogie milczenie, wesóło się odzywając:

— He, he, mamusiu, historia zajęcy wybiła nam zupełnie wujaszka z głowy, a on w domu na was niecierpliwie pono oczekuje. On przybł po lekarskie zioła, przez was dla niego posuszone.

— Mój brat, Jakób? — westchnęła pani Michelet. — Ach, gdybyż on mógł stać się naszym aniołem wybawicielem! Ma on wielki rozum i umie w rozpaczliwych przypadkach dać radę. Niechże on osądzi, co robić mamy. Czy księciu być mamy posłuszni, czy uciekać, czy chwycić się innego środka, by Hugonowi uratować życie.

Jakób Coittier pochodził, jak i jego siostra, pani Michelet, z Burgundyi. Małżeństwo ostatniej z Micheletem, sługą księcia Nemours, rozdzieliło rodzeństwo na czas długi. Pani Michelet dowiedziała się tylko, że Jakób, brat jej, oddał się nauce leczenia i później przeniósł się także do Francyi. Dopiero po śmierci Micheleta, który w walce z wojskami królewskimi padł za swego pana, Jakób Coittier odwiedzał czasami owdowiałą siostrę swoją; a lubo ubiór jego oznaczał stan niższy, domyślała się pani Michelet z sposobu brania się jego i znacznych podarków, że on czemś więcej być musi, niż to okazuje. Starannie także Coittier unikał spotkania z księciem i jego dworem, i zwykle odwiedziny urządzał w cieniach nocy, albo pod niebytność księcia. Pełen niecierpliwości, oczekiwał swej siostry przybycia, która wre-

szcie z płaczem przyszła i rzuciła mu się na szyję; wewnątrz żal swój i obawę o swego Hugona. Zaklinała brata swego, aby zabrał ze sobą jej syna; tym sposobem go z pod władzy księcia usunął i wziął na siebie gniew księcia.

Coittier, był to człowiek lat czterdziestu, wysokiego, majestatycznego wzrostu; nad jego orlim nosem świeciły czarne, przenikliwe oczy; ciemne jego kędzierzawe włosy pokrywała obcisła skórzana czapka, sięgająca poza kark jego i zostawiająca twarz tylko odsłonioną. Najmniejsze drgnienie muszkuł jego oblicza nie zdradzało, co myślał o tem, co z ust siostry z takim pędem się sypało. Po chwili namysłu pokręcił głową z niesmakiem

— Jeżeli książę — mówił on — więcej nie zamysła robić, jak to mówi, nie widzę wielkiego dla Hugona niebezpieczeństwa. Co innego by to było, gdyby do otwartej missyi, tajemne, zbrodnicze przyłączył poselstwo. Ale i nawet w takim przypadku, ucieczka Hugona, gdy ty tu pozostaniesz, niedorzeczna i bardzo niebezpieczna. Bo ramię księcia daleko sięga, a umysł jego za mściwy, ażebyście mogli się bezkarnie narażać na gniew jego. Rada moja jest taka: żeby Hugon pozornie poddał się woli książęcej i przyjął na siebie posyłkę. Lecz gdy już znacznie oddali się z ócz jego, i kawał niepośledni drogi przejdzie, niechaj gdzie rzuci zające i pismo książęce i niechaj szuka ratunku w ucieczce. Rozumie się, że już chłopiec wracać tu nie może. Książę pomyśli zaś, że złapany od sattelitów królewskich, sprzętnięty został, jak i inni jego posłańcy i tobie da pókój.

— Ale cóż ma ten biedny niedoświadczony chłopiec począć? — mówiła pani Michelet zakłopotana — jeżeli on ma sobie samemu być oddanym i ty się nad nim niechcesz podjąć opieki?

Jakób Coittier wzdrygnął ramionami.

— Z pomiędzy dwoma złemi — odpowiedział on — trzeba wybierać mniejsze. Masz wóz i przewóz. Jeżeli będę mógł dla Hugona co zrobić, to zrobię. Ale to sobie za konieczny kładę warunek, że, jeżeli kiedykolwiek się spotkamy, po za tym domem, Hugon nie wyda się z tem, że mnie zna. Wbij to sobie, chłopcze, doskonale w pamięć! Zresztą, może książę miarę przebierze, a łaska królewska się dla niego skończy. Już widzę — mówił dalej Coittier, patrząc bystro przed siebie — widzę krwawą obrączkę na szyi d'Armagnaka, lecz milczcie! milczcie!

I Coittier zamilkł i zamyślił się głęboko, podczas kiedy siostra jego sposobiła, czego było potrzeba do podróży swego syna, udzielając mu, rzewnemi łzami zalana, macierzyńskich rad i zalecając mu jak największą ostrożność. Przyniosła na jedwabnym sznureczku srebrny krzyżyk, i zawiesiła jako obronny talisman synowi na szyję. Gdy Hugon przy tej okoliczności musiał koszulę aż na ramiona odrzucić, aby poświęcony dar matki błogosławieństwem na gołym ciele zawiesić; zbliżył się przypatrujący się tej scenie Coittier i spostrzegł znamię przyrodzone, znajdujące się pomiędzy ramieniem a szyją; składało ono się z jednej większej, drugiej mniejszej brunatnej soczewki. Naznaczył sobie to w swej pamięci. Nakoniec zarzuciła matka na głowę syna podobną skórzaną czapkę, jaką brat jej miał i oblała twarz jego łez strumieniem.

Amelia również uściskała z płaczem odchodzącego brata i odprowadziła go z matką na dziedziniec zamkowy.

Tu odebrał zające i z rąk księcia pismo, które sam książę w zawieszoną na szyi chłopca torbę włożył. Już podniósł Hugo prawą nogę, chcąc puścić się w podróż, gdy wtem książę niby niechętnie zawołał:

— Czekajże wyrostku, bo mi wyglądasz jak nie-
toperz. Precz z tą brudną skórzaną czapką! Każdy
wiedzieć ma, że ciebie Nemours wysłał.

Te słowa wyrzekłszy zdarł książę czapkę z głowy
Hugona i wpakował mu na nią kapelusz z książęcem
godłem, który zdjął najbliżej stojącemu słudze. Ka-
pelusz ten był na głowę chłopca za wielki, więc mu
aż na oczy zapadł.

Skłonił się Hugo z uszanowaniem i oddalił się.
Błogosławiła go jeszcze raz matka i siostra. To samo
uczyniła księżna Jolanda, stojąca w oknie na górnem
piętrze zamku, tylko że do błogosławieństwa dołą-
czyła jeszcze pobożne votum, jeżeli posłaniec księcia
bez szwanku dojdzie do celu podróży. Bo nie uszło
to jej uwagi, że jej mąż dwa papiery napisał i dłuż-
szy czas strawił na pisaniu, niż należało go stracić
na napisanie jednego listu.

Rozważając pilnie w duszy słowa i napomnienia
wuja swego, szedł Hugo wskazaną sobie drogą, która
go wkrótce wyprowadziła z obwodu zamkowego i do
cienistych lasów zawiodła.

Tu już mógł chłopiec, podług przykazu wuja,
swoje brzemie i przydane do niego pismo porzucić.
Atoli myśl, że w takim przypadku byłby musiał na
wieki dom pożegnać matki i siostry, czułą miłością
go kochających, więcej ich nie widzieć, a sam się na
arrdzo niepewną, nawet bardzo niebezpieczną narazić
i zysłość, wstrzymała go; ociągał się tem bardziej
płusznie, pójść za radą swego wuja, że uważał po-
selstwo swoje za nieszkodliwy żart i że tenże mógł
nie być połączony z tajemnem poleceniem, jak się
tego wuj Coitier obawiał.

Otrząsnął się ze smutku Hugo, zaśpiewał trochę,
pogwizdał sobie i skakał o zakład z ptaszkami, obej-
rzał siebie i nowy ładny kapelusz w kryształowem
zwierciadle strumyka i ze smakiem zjadał daną mu

na drogę przekąskę. Im dalej szedł, tem weselsze było serce chłopca.

Od trzech godzin wędrował, nie spotkał ani wieśniaka, ani żadnego wędrowca, ani nawet dzieci zbierających wiory.

Ponieważ wierzył święcie mowie książęcej, że za utrudzenie swoje w podróży sowitą odbierze nagrodę, przeto w myśli dzielił ją już między matkę i siostrę, ciesząc się naprzód ich radosnem zadziwieniem. W uniesieniu swoim widział już czarujący obraz swojej fantazyi, a okazując z niego zadowolenie, podskoczył sobie z wesołym okrzykiem.

To poruszenie gwałtowne sprawiło, że nieprzyjający do jego głowy kapelusz spadł mu nietylko na oczy, ale i nizko na nos, tak że się potknął i wpadł w dół.

Gdy się z niego wygramolił na wierzch i kapelusz z oczu zesunął, spostrzegł stojącego przed sobą uzbrojonego człowieka, herkulesowej postawy, którego ciężka prawica spadła jak młot na ramię chłopaka i silnie go za nie przytrzymała.

— Zkąd i dokąd? — pytał ten człowiek tonem spokojnym, lecz mocnym, mierząc chłopca badawczym wzrokiem od stóp do głowy. — Tak każdy powiedzieć umie — rzekł, odebrawszy od Hugona Micheleta odpowiedź stósowną. — Przekonaj mnie, dowiedz mi, że prawdę mówisz, wymagam tego. Twoja gadka trąci za mocno wschodnią przepowiednią, ażeby jej tak łatwo uwierzyć można. Gdzie masz pismo twego książęcego władzcy? Chodź ze mną, mój chłopczyku — mówił człowiek, ujrzawszy w ręku swoim pismo książęce.

Bez oporu odprowadził Hugona z drogi jego i zawiódł go w gęste zarośle, gdzie, zrobiwszy około sto kroków, Hugo ujrzał około ognia siedzących kilku ludzi. Nie byli oni bardzo uzbrojeni, ubiór ich był

skromny i jednostajny. Wyjawszy jednego, jak się zdawało herszta tej rozbójniczej bandy, każdy z nich miał kilka razy owinięty sznur około lewego ramienia. Na najbliższych drzewach stały oparte muszkiety, a oprócz tego lewy bok każdego uzbrojony był krótkim, szerokim mieczem.

W głębi lasu pasły się osiodłane konie, widocznie należące do bandy.

Za zbliżeniem się Hugona obrócili się wszyscy na niego i ostrym go wzrokiem zmierzyl. Jeden tylko z pomiędzy nich, w odmiennym, czarnym ubiorze, wykwintniejszego kroju i delikatniejszej materii, nie spojrzał za siebie, lecz zatopiony w głębokich myślach, patrzył na słabo tlejący się ogień.

Gdy towarzysz Hugona lakoniczną dał sprawę i dowódzcy tej bandy wręczył pismo książęce, obrócił się dowódzca do chłopca, groźnym do niego przemawiając tonem:

— Jeżeli ci życie miłe, to przyznaj się, czy nie masz, oprócz tego pisma i zajęcy, jeszcze czego przy sobie albo w sukniach zaszytego. Nie spodziewaj się mnie podejść chytrąścią albo kłamstwem. Tego nie dokaże nikt, a tem mniej niedoświadczony jak ty dzieciuch.

— Odprowadź go na bok — rzekł przywódzca po zaklęciu się Hugona, że prawdę na zapytanie jego odpowiedział.

Ten sam człowiek, który drogę Hugonowi zaszedł, poprowadził go głębiej w bór, a nawet tak daleko od reszty oprawców, że ich ani widzieć, ani słyszeć ich mowy nie mógł.

Po odejściu Hugona otworzył przywódzca bandy pismo książęce, które brzmiało dosłownie jak następuje:

„Kochany kuzynie i przyjacielu!

Byliście łaskawi niedawno temu przysłać mi rzadkiej piękności, cudownie ułożonego do polowania sokoła. Cieszę się, że wam mogę się odwdzięczyć, posyłając przez oddawcę tego pisma trzy pulchniatki zające, które moi zmarli przodkowie w grobie familijnym uszczuli i do dziś je dla was zachowali. Oblizując wasze paluszki od tej kruchej smacznej pieczonki, chciejcie uprzejmie pamiętać na waszego niezmienną miłością i wiernością dla was oddychającego

Jakóba d'Armagnac.“

Przeczytawszy to pismo, czytelnik podniósł je przeciw słońcu, a nic nie odkrywszy, potrzymał je nad gorącym żarzewiem, żeby, gdyby tajemnie sokiem cytrynowym coś jeszcze na papierze było napisanem, wyszło na jaw w żółtym kolorze. Ale i ta próba nie miała żadnego skutku.

Przetrząśnięto następnie mumie zajęcze, rozpruto, rozszarpano i nic podejrzanego nie znaleziono.

Sprowadzono do ogniska Hugona i starannie go przejrzano. Kiedy i tu poszukiwania okazały się daremnemi, dał przywódzca bandy ludziom swoim strasznie znaczący znak, poczem jeden z nich odwinął sznur z ramienia swego i poglądał po drzewach.

Hugona oczy mimowolnie ścigały każde poruszenie otaczających go osób i — krzyk przeraźliwy śmiertelnej trwogi z zbladłych jego ust się wydobył. Kołem mu oczy się zatrzymały na trupie niedawno powieszzonego człowieka, który w miernej wysokości na gałęzi wiecznemu oddał się spoczynkowi.

Ten widok tak był niespodziany i okropny, że biedny chłopiec drżący padł na kolana i rękoma twarz zasłonił, a gdy się odważył spojrzeć przed siebie, widział jak ten człowiek zarzuciwszy sznur za dosyć

mocną gałąź, pętlicę zakładał, najoczywiściej, ażeby ją zaciągnąć na jego szyi.

Teraz poznał Hugo, w jakie wpadł ręce, których właściciel daleko bardziej był nieubłagany i okropny niż nawet zwykły rozbójnik.

Słyszał Hugo nieraz w domu o naczelnym profosie królewskim, Tristanie, który w towarzystwie swoich siepaczy, szubienicznikami nazwanych, przebiegał królestwo i równie ostrą jak prędką wymierzał karę na rozbójnikach, złodziejach, szpiegach, cyganach i opierających się królowi poddanych.

Po wyroku Tristana, najregularniej na śmierć wskazującego, następowało niezwłoczne jego wykonanie, co się jak najprostszym sposobem odbywało, albowiem dobra gałąź zawsze była w pogotowiu i owinięty sznur na ramionach oprawców, to im też zjednało wzmiankowane dopiero przezwisko.

Teraz jeszcze widzimy adjutantów, innych oficerów i znaczniejszych wojskowych, noszących zawieszane na ramionach sznury, z tą różnicą, że te są posrebrzane i pozlacane.

Gdyby oni wiedzieli, zkad początek tej mody zawdzięczają, nie bardzoby nią się szczycili.

Nadto już to było pewnem, że i brat Hugona wpadł w ręce Tristana i powieszonym został.

Obawę o taki los swego starszego syna nieraz pani Michelet wyrażała i to ją spowodowało, że tak usilnie księcia prosiła, aby i najmłodszego jej syna nie wybierał na swego posłańca.

Jeżeli młode serce Hugona przed godziną drżało czystą i serdeczną radością, to teraz przeciwnie przejęte było przestraczem przed haniebną i okrutną śmiercią. Ach, alboż to tak łatwo, w pełni zdrowia, rozwijających się sił i szczęścia, patrzeć obojętnie na blizki zgon swój? Osłabiony wiekiem starzec a drży i rozżala się na widok śmierci.

Biedny chłopiec klęcząc ciągle, obrócił się do profosa i zawołał żalosnym głosem, błagalnie wyciągając do niego ręce:

— Zlituj się panie, zlituj! Zaklinam cię na Imię Najświętszej Matki Boga i wszystkich Świętych!... Ach! ja nic nie mam tajnego ani podejrzanego przy sobie!

— Ale w sobie! chytry, podły krecie! — odfuksnął Tristan. — Stokroć lepiej, że język twój zdradziecki powstrzymanym zostanie od razu na wieki!

— Nie, nie — jęczał chłopiec. — Ja tylko mam ukłon od mego pana oświadczyć. O wierzcie mi, ja jestem niewinny.

— Tem lepiej dla ciebie! — odpowiedział Tristan niewzruszony. — „Wolałbyś, żebym umierał jak winowajca?“ mówił niegdyś mądry Sokrates do jednego z swych uczniów, który szczególnie dla tego tak bardzo go żałował, że niewinny, a przecież był przymuszony wypić kubek trucizny. Podobnie jak ten pogański, sławny na świat cały mędrzec, powinienś myśleć i mówić.

— Zlitujcie się nad moją młodością! — błagał znowu Hugo.

— Lepiej, że młody prosto pójdziesz do nieba, niż żebyś starą, grzeszną duszę włókł do piekła — mówił szydząc Tristan. — Guichard — mówił dalej — zrób co kazałem.

W tej chwili, w której Guichard krzyzącego i opierającego się chłopca ciągnął do konopnego węzła, obrócił się dotąd nieruchomie siedzący, w czarnem ubraniu człowiek, do jeneralnego profosa, mówiąc:

— Wstrzymajcie się jeszcze z tem wieszaniem. Jeżeli się nie mylę, toście zapomnieli zrewidować kapełusz tego chłopaka. W takim razie, jeżeli posłaniec niesie tajemne pismo księcia, to ono musi w kapełuszu być ukryte.

Uwaga ta opóźniła egzekucyą. Kapelusz przeglądano. Niedługo wyciągnięto z pod grubej pilśniowej powłoki drugi, ręką księcia napisany liścik, który zawierał nowy plan nieposłuszeństwa przeciw zwierzchnictwu króla.

— Dzięki wam doktorze, za waszą dobrą radę — rzekł Tristan do czarno ubranego człowieka. — Oszczędzacie mi zarazem wyrzutu sumienia, którego-bym doznał kiedyś za powieszenie niesłusznie obwiniętego wyrostka. He, chłystku! Masz jeszcze w worku twoim wybiegi, przysięgi i beki na dowód twojej niewinności?

— Na ukrzyżowanego naszego Zbawiciela! — płacząc Hugo znękany wyrzekał. — Jestem niewinny! Książę ściągnął mi z głowy moją skórzaną czapkę i włożył mi na nią ten kapelusz, anim wiedział co o tym papierze.

Tristan roześmiał się szyderczo.

— Ja ci wierzę chętnie i zupełnie, mój dobry młodzieniaszku — mówił. — He, Guichard, zróbno go na prędcę męczennikiem!

Hugona krzyki i wydzieranie się byłoby znowu bezskuteczne, gdyby czarny człowiek przy ogniu nie był się powtórnie odezwał:

— Jeżeli myślicie, że mi za dobrą radę winniście wynagrodzenie, Tristanie — odezwał się do naczelnego profosa — to odłóżcie powieszenie tego chłopca aż do przybycia króla, które niezadługo nastąpić musi.

— Ach doktorze — odpowiedział Tristan z przekąsem — cóż to ma obchodzić króla, czy takiego jednego łajdaka mniej czy więcej na świecie?

— To prawda — odrzekł doktor. — Z tem wszystkim ten chłopiec, podług moich horoskopów, ma kiedyś rolę anioła obrońcy odegrać w życiu królewskim.

Tristan uśmiechnął się z niedowierzaniem i nie-

kontent pokreślił głową. Jednakże dał znak, który zawieszenie egzekucyi i przerwę pasujących się uskutecznił

Chłopiec, krzycząc i mocując się z Guichardem, nie dosłyszał głosu swego obrońcy. Robiąc okropnie pierściami i zlany potem, rzucał uważnym wzrokiem na Guicharda i srogięgo Tristana.

Upłynęła duża chwila, w której Tristan z towarzyszami półgłosem rozmawiali. Usłyszano nakoniec odgłos kopyt końskich, który spieszenie się zbliżał do miejsca, w którym Tristan z ludźmi swymi się rozłożył. Na ten tentent powstali wszyscy z miejsc swoich, a spostrzegłszy mężczyznę w niewykwinnym ubiorze, za nim dwóch jeźdźców odznaczających się sług strojem, czwałem pędzących, przybrali pełną uszanowania postawę i oczekiwali ze schyloną głową króla, o przybyciu którego poprzednio byli uwiadomieni.

Ludwik XI, król Francyi, lubił oddalać od siebie wszelki przepych królewski, ani gwiazdy, ani wstęgi, ani złote sznury lub hafty, ani kosztowne kamienie, ani cienkie materye, nie zdobyły go wcale. Nosił się zwykle skromnie po mieszczańsku, a na jego grubym pilśniowym kapeluszu ołowiane odbicie Najśw. Maryi Panny świeciło.

Oprócz Ludwika XI kilku panujących i książąt bohaterów przestrzegali skromność w swoim ubiorze. Tak Karol XII, król szwedzki, Napoleon I, cesarz Francuzów, Fryderyk Wielki, król pruski i inni. Czy cnota pokory była zawsze powodem tego niewytworzonego smaku, bardzo wątpić należy. Nie rzadko to łechcące uczucie, że mimo pozornej skromności wzbudzali dla siebie poszanowanie osób najznakomitszych cnotami, dostojenstwami i wiekiem, było bodźcem zamięłowania tej prostej powierzchowności.

Przynajmniej Karol XII dowiódł tego na nie-szczęśliwym Patkulu, Napoleon I na księciu d'Enghien

i księgarzu Palm, a inni monarchowie postępowaniem swoim dowiedli, że pod skromnym surdudem najambitniejsze było serce.

Widok powieszonego człowieka był tak obojętnym dla Ludwika XI, jak gdyby to był ptak w si-dła uwikłany. Natomiast czarodziejskim sposobem wywołało zdradzieckie pismo księcia szatański uśmiech na twarz jego; złożył obadwa papiery tak starannie i kładł je do swojej kieszeni, jakby to były najkosztowniejsze klejnoty.

— Owoc dojrzał — rzekł, ściągając mowę swoją do Jakóba d'Armagnac — i spadnie z drzewa, aby rozdeptanym został. Nigdy nie wierzył w poprawę księcia i cieszę się, że się w tem nie omylił. Tymczasem, Tristanie, inną razą w podobnym przypadku, oryginał zdradzieckiego pisma zachowasz u siebie, a posłańca puścisz wolno, jak gdyby nic nie zaszło. Tą razą za daleko się naturalnie posunąłeś i będziesz musiał z posłańcem to uczynić, co mu się z prawa należy.

— Otóż macie doktorze! — rzekł Tristan, obracając się z szyderczym wzrokiem do pośrednika Hugona. — Ten truteń nie bardzo ci będzie wdzięczny, żeś mu przedłużył życie na kwadrans. Bez was byłby już przebył tę niebezpieczną przepaść i już zakosztował rozkoszy niebiańskiej.

Gdy tak tytułowany „doktor“ podniósł się od ognia, ażeby powitać króla, Hugo po raz pierwszy spojrział na niego i drgnął z zadziwienia. Szczęście, że wszyscy przytomni byli królem zajęci, bo nie byłoby uszło ich uwagi przerażenie i mimowolny, choć stłumiony wykrzyk chłopca.

Zdawało się Hugonowi w czarnym człowieku, pomimo całkiem odmiennego ubioru i wspaniałej, a dumnej postawy, poznawać wuja swego, Jakóba

Coittier; lecz gdy tenże zaczął mówić do króla, zniknęła wszelka jego wątpliwość.

Wielkie niebezpieczeństwo pozbawia niektórych ludzi całkiem rozumu, w innych przeciwnie budzi moc ducha.

Hugo liczył się do ostatnich i z tej przyczyny przypomniawszy sobie natychmiast surowy zakaz wuja swego, aby zupełnie był w przytomności ludzi dla niego obcym i umiał się doskonale przejąć tą rolą.

— Najjaśniejszy panie! — mówił do Ludwika XI Jakób Coittier, którego wielka wprawa w leczeniu wyniosła aż do godności królewskiego lekarza — raczysz mi pozwolić wasza królewska mość opowiedzieć mu sen, który przeszedł nocy miałem, a który z przeznaczeniem waszej królewskiej mości najciślej ma związek. Nim się wczoraj na spoczynek udałem, badałem gwiazdy o przyszłość waszej królewskiej mości i nie mogłem nic w nich odkryć wyraźnego. Natomiast śniło mi się w pierwszym śnie, że chłopiec, ten sam posłaniec książęcy, którego tu widzę, ma mieć znamie między szyją a łopatką, w formie dwóch brunatnych soczewek i ma uratować waszej królewskiej mości życie z grożącego niebezpieczeństwa. Nie potrzeba mego zapewnienia, ani świadectwa Tristana, że mi ten wyrostek zupełnie jest nieznajomy i szyi jego gołej nigdy nie widziałem. A teraz, racz najjaśniejszy panie zobaczyć, ażali posłaniec książęcy będzie twoim wybawicielem od śmierci, lub też nie.

Jeżeliby nie miał mieć widzianego we śnie przezemnie na sobie znaku, niechaj Tristan postąpi z nim, jak mu się będzie podobało.

Jakób Coittier, znając na wylot swego pana, wiedział aż nadto dobrze, że Ludwik XI nie tylko był chytry, fałszywy, wiarołomny, okrutny i samolubny, ale i nader zabobonny; przymioty, jakie także posiadał cesarski wódz naczelny, książę Wallenstein. Ja-

kóń Coittier łączył z obowiązkami królewskiego przybocznego lekarza i obowiązek wieszczbiarza, mógł więc łatwo głosić taką przepowiednię; jedyny to był sposób ocalenia życia swego siostrzeńca. I nie trudno mu było odgadnąć, że tylko kapelusz zawierał ukryte pismo, albowiem zamiana jego za czapkę zapewne z ważnych nastąpiła pobudek.

Że Hugo miał kiedyś ocalić życie króla, to było czystym wymysłem doktora; nie przewidywał on też żadnej do tego wypadku możliwości, a gdyby się jego proroctwo spełnić nie miało, to na pogotowiu niejedną już miał wymówkę.

Naturalną było rzeczą, że opisane znamię na ciele Hugona znaleziono i król tak mocno uwierzył w sen i przepowiednię doktora, że radził go się, czy ma natychmiast tego chłopca wziąć na swe usługi i mieć go niedostępnym swoim towarzyszem.

Nie trafił ten projekt do smaku doktorowi, więc odpowiedział królowi:

— Najjaśniejszy panie, puść chłopca, niech idzie gdzie sobie zechce; on i tak przeznaczenie swoje wypełnić musi. Gdyby wołał było władz niebieskich, aby ten chłopiec zostawał przy twojej osobie, byłoby mi się to we śnie objawiło, a tego nie przypominam sobie.

— Dobrze! — rzekł król — niech sobie idzie, gdzie chce. Albo do księcia Bretanii, albo do swego pana napowrót, niech mu przypadki swoje opowiada. Lew nie lęka się ukąszeń brzęczących około niego komarów, same one na swoją lecą zgubę.

Po tych słowach król zawrócił konia i popędził naprzód. Tristan, Coittier i szubieniczniki również na konie powsiadali i za królem pospieszyli, a Hugona sobie samemu zostawili.

ROZDZIAŁ III.

N a p a d.

Cóż to za okropny, przygodny dzień był dla Hugona i Micheleta dzisiaj. Byłby sądził, że to wszystko snem tylko było, gdyby najoczywistszych dowodów rzeczywistości nie miał przed oczami swemi: poszarpane zające, pocięty kapelusz, żarzące się ognisko, ślady ludzkich kroków i końskich kopyt i nieco dalej wiszący trup.

Krzyczące, przeraźliwe zjawisko. Ciągłe czuł Hugo duszący stryczek na szyi, ruszał się, głową rzucał, chcąc się przekonać, że jest wolnym.

Niedawno jeszcze tak powabne obrazy, utworzone bujną wyobraźnią chłopca, zmieniły się w straszne róższką krwiożerczego czarnoksiężnika.

W słońcu nawet biedny Hugo upatrzył czarne plamy, a ciemnobłękitne rozkoszne niebo zdało mu się być umarłych całunem. Jęki wydawały dla jego słuchu szumiące drzewa i pieśni pogrzebowe śpiewały ptaszki. A przed nim leżały niewinni jego nie-szczęść sprawcy, zeschłe, a teraz poszarpane zające.

Gdyby nie te ofiary ostrej zimy, byłby Hugo jeszcze wolnym od trosk, szczęśliwym, wesołym chłopcem, byłby jeszcze z matką i siostrą.

Cóż począć teraz? Miał wrócić do domu i wystawić się na gniew księcia, co tak okrutnie z życia niewinnego dziecka sobie zrobił, a nadto chciałby może nieudanie się poselstwa na karb włożyć jego gapiostwa? Czegoż się spodziewać można od pana, który bratu Hugona takim samym sposobem zgubę zgotował i groził pozbawieniem biedną wdowę Michelet wszystkich jej dzieci? Miałże on iść dalej wskazaną drogą do księcia Bretanii, któryby nieszczęśliwemu posłańcowi inną zapewne nagrodę przeznaczył za pozwolenie odebrania sobie pisma, niż sowitą za-

płatę? Na jakiej słabej nici życie Hugona wisiało.. Jakiżby wuj jego Coittier wymyślił był środek ocalenia życia jego, gdyby nie był spostrzegł w domu jego matki znamienia na jego szyi? Ażali krzyżyk, który mu matka na szyję zawiesiła, nie był przyczyną wybawienia go od śmierci?

Kochająca matka, co to za skarb dla dzieci!... Przejęty wdzięcznością i uszanowaniem ucałował srebrny krzyżyk, który rzeczywiście stał się jego obronnym talismanem.

— Ach, moja mamuniu kochana! — rzekł, głośno i głęboko westchnąwszy. — I ty droga siostró Amelko! — dodał. — O gdyby te dwie istoty w Carlat nie mieszkały, na wieki z niemiby się Hugo był pożegnał i byłby bez namysłu puścił się w obce strony szukać szczęścia.

Gdyby mu był przynajmniej jakim skinieniem wuj dał do zrozumienia, gdzieby miał zwrócić swe kroki. Iść tą drogą, po której król i Tristan jechali? To było niepodobnem. Wracać nie miał odwagi. Iść do księcia Bretanii nie chciał.

Nareszcie wybrał czwartą drogę. Ponieważ był opatrzony na trzy dni w chleb i słoninę, więc na początek nie lękał się głodu.

Gdyby nie pamięć na matkę i siostrę, jużby była krew po żyłach Hugona żwawiej, weselej krążyła. Ale wystawiał on sobie trwogę i smutek matki, gdy na czas nie wróci. Gdyby jakim sposobem mógł jej donieść o sobie! Wuj Jakób byłby mu mógł być bardzo w tym kłopotcie pomocnym. Widział przecież, że wuj nie dbał o niego, kiedy go tak oziębłe opuścił.

Stał mu w oczach ciągle okropny wisielec, gdy się z tragicznego dla siebie miejsca oddalał. Doszedł w końcu na umajone pola, spokojnemi przeplatane wioskami i po troszę zbladły w jego duszy obrazy

scen okropnych, a postać matki i siostry w coraz wydatniejszych kolorach mu się przedstawiała.

Późno po południu doszedł Hugo do wioski i do karczmy; przed nią stało kilka wozów, zbożem, winem, suchym owocem, drzewem opałowym i innemi naładowanych przedmiotami.

Podczas kiedy konie wyprężone pasły się i odpoczywały, woźnice pokrzepiali się winem, którego było pod dostatkiem; nie zbywało również na głośnych rozmowach, brutalnych żartach i szczerym śmiechu.

Hugo Michelet pragnął tak rozrywki i pokrzepienia, jak spragniony jelenź świeżej wody, wstrzymał się zatem, usiadł na kamieniu i wyciągnął swe zapasy. Nie mógł wina kupić, bo nie miał za co; napił się więc czystej z krynicy nabranej wody.

Mały, opasły człowieczek, któremu policzki wypakowane rozogniły się winem i czarne przenikliwe oczy także ogniem buchały, zawołał na chłopca rozkazującym tonem:

— Tu do mnie chłopcze!... Hej!... alboż to nie wiesz, że nie trzeba słoniny popijać wodą, lecz strawnem winem? Dalejże, chodź i pij zdrowie szanownego pana Tristana, którego niech Bóg raczy dla dobra Francyi zachować przy najdłuższem życiu.

Słowa te padły jak zaraźliwa rosa na bujnie wygrywające się zboże. Milczenie grobowe zastąpiło rozmowę, żarty i śmiechy, a biesiadnicy potrząsając głową postawili kubki już podniesione do ust na stole.

— No i cóż to ma znaczyć? — pytał prędko mały człeczek, różniący się miejskim ubiorem od wieśniaków. — Alboż co niesprawiedliwego, albo fałszywego powiedziałem? Czy to nie odważny pan Tristan, co kraj oczyścił z oszustów, złodziei, zasadzek, napastników i morderców, podobnie jak bocian wytępia z łąk i roli szkodliwe robactwo? Czyżbym to mógł tak bezpiecznie z naładowanemi wozami spo-

kojnie jeździć po drogach. Jeszcze to temu niedawno, jak kupiec drogiemi pieniędzmi musiał sobie ubrojeny konwój opłacać, a pomimo tego jeszcze zrabowanym bywał. Pijże więc na zdrowie naczelnego profosa!

— Ja ani złodziej, ani złoczyńca — odpowiedział otwarcie Hugo, a ledwie o włos, że moja szyja nie wpadła dzisiajszego poranku w stryczek konopny Tristana.

— To pewnie była pomyłka — mówił kupiec, tłumacząc Tristana — albo Tristanowi zabrakło innej zwierzyny. I bocian połyka niejedną pilną i nieszkodliwą pszczołkę, kiedy innej nie znajduje żywności. Bo to widzisz nie trzeba wychodzić z wprawy.

Nic nie mogło zmienić sądu Hugona o Tristanie i nie dał się w żaden sposób skłonić i pić na jego zdrowie; byłoby niezawodnie do jakiej przyszło kłótni, gdyby nowy wypadek nie był przerwał umawiania się kupca i Hugona. Kilkunastu jeźdźców przypadło pędem przed karczmę, krzycząc:

— Z drogi, z drogi, książę Bretanii jedzie!... Z drogi! z drogi! — wrzeszczeli, bijąc płazem pałaszami ludzi i zwierzęta.

— Z drogi! z drogi! — powtórzył spasły, okrągły jeździec krępego wzrostu, którego czapka spiczasta z dzwoneczkami i reszta pstrego ubioru i trzepaczka w ręku, oznaczały nadwornego błazna książęcego. — Zrzucajcie ze łbow waszych kapelusze, hej dragale! — krzyczał ciągle — ażeby mój najłaskawszy pan mógł do waszego wjechać gniazda. Bo jeden książę potrzebuje dla siebie sto tysięcy razy więcej miejsca, więcej żywności, więcej pieniędzy i sług, niż każdy tu z was. Więc umykajcie z drogi! z drogi! albo deszcz popada z kijów na wasze łby i plecy!

Jeszcze woźnice i pacholki zatrudnieni byli usuwaniem wozów i zwierząt na bok, aby miejsce przed

karczmą uprzątnąć, chcąc uniknąć przykrego obejścia się z nimi ludzi książęcych, kiedy już znów drugi poczet mniejszy, nadciągający z przeciwnej strony, groził powiększeniem ciżby i zamieszania.

Najgroźniejsze krzyki książęcej świty umilkły nagle, wyciągnięte miecze do połowy wpuszczono w pochwy, a furmani mogli wtedy spokojniej nakazane sobie uprzątnienie przed karczmą skutecznić.

Tak wielki wpływ wywarło ukazanie się Tristana i jego oprawców.

Książę Bretanii właśnie co był z konia zesiadł i zabierał się do zastawionych w lot dla niego przed karczmą przekąsek i wina. Na widok Tristana zachmurzył się wzrok jego, wszystkie rysy twarzy zapłonęły gniewem, spieszenie wszedł do domu, ażeby na nienawistnego mu naczelnego profosa nie patrzył.

Ucieszony kupiec zacierał ręce z zadowolenia.

— Aj, aj — mrucał sobie pod nosem — książęta udzielni i dostojni panowie umykają się Tristanowi z drogi, jak ogień usuwa się przed wodą, jak chytry lis przed silnym dzikiem. Hej, Antoni, Franciszku, spieszcież się z zakładaniem koni. Nikt się was teraz nie poważy napastować, kiedy tu pan Tristan jest obecny. Jakże, chłopcze, jeszcze się to ociągać będziesz i nie wypijesz zdrowia Tristana? Pij, pij, bo i tak chętnie moim woźnicom dopomagales. Zdaje się, że nie obce ci jest takie zatrudnienie.

— Ach, drogi panie! — odpowiedział Hugo — powiedzcież mi, jestli książę Bretanii ludzki, albowinie? Byłem właściwie do niego wysłany, ale mi odebrano pismo dla niego.

— Książę udzielnym! — odpowiedział kupiec — mój kochanku, podobny do wulkanu ogniem buchającego; z daleka wygląda wspaniale, ale zbliż się do niego, pochłonie cię. Gdyby treść twego poselstwa była mu nieprzyjemną, albo przyszła nie w porę, nie

skończyłoby się na płazach dla ciebie. Z wielkimi panami niebezpieczna sprawa, dla tego ja się też tak spieszę z odjazdem, chociaż przybycie Tristana broni mnie przeciw ludziom księcia. Jeźliście skończyli — mówił dalej do swych ludzi — to odjedziemy. A ty, chłopcze mój miły, wypij co jeszcze w mym dzbanku zostało. Ja chcę, żeby szanowano pana Tristana.

Kupiec odjechał ze swemi dwoma naładowanemi wozami, a Hugo smacznie zapijał zostawione mu wino. Od Tristana przybycia wszyscy przytomni rozmawiali głosem przytłumionym, bojaźliwym.

Jedyny wyjątek stanowił księcia nadworny błazen, który głośno przemówił do naczelnego profosa:

— He, he, panie Tristan, skarży się tu ktoś gorzko na waszecz, że za was konopie we Francyi za nadto drożeją, a ryby za nadto się tuczą, tak że lubownicy ryb dostali od nich przykrej choroby. Ale cóż to u diabła, dla czegoż to polujesz tylko na takie plugastwo? Nie bierze cię to chętką na szlachetniejszą zwierzynę? Aha, winogrono za wysoko wisi dla waszecz. Pewnością to już jest niezawodną, nawet niemylnem mniemaniem, że po waszecz śmierci wszyscy złodzieje królestwa jak świętego czcić waszecz będą.

Na to dowcipkowanie Tristan odpowiadał wzgardliwym milczeniem, najlepszy to i najpewniejszy środek powstrzymania języka każdego błazna.

Pokrzepiwszy siebie winem i konie obrokiem, naczelny profos i jego towarzysze wyjechali na drogę, którą książę przybył, a która prowadziła do Paryża, jak się o tem później Hugo dowiedział.

Po odjeździe kupca i naczelnego profosa, wielkiego strachu nabawionym został Hugo. Zdawało mu się, że każdy odgadnie z jego miny, że poselstwa swego nie dopełnił i do odpowiedzialności go za to pociągnie.

Łyknął więc duszkiem resztę wina i udał się w dalszą drogę, a nawet w tę samą, w którą kupiec i naczelný profos się obrócił, zwyciężając wstręt, jaki czuł do ostatniego. Sądził bowiem, że wuj jego Coittier zapewne w bliskości naczelnego profosa być musi. Spodziewał się w jakim nieszczęsnym przypadku rady i pomocy od niego.

Uszedłszy już kawał drogi, spostrzegł, jak Tristan i jego towarzysze zatrzymali się na małym wzgórzu przed rozległym lasem, z kąd można było widzieć wieś i książeący poczet stojący przed karczmą.

Na ten widok byłby się prawie Hugo nawrócił, lecz zagrzany winem i myślą, że nie postępuje nieprawą drogą, a na to wszystko mając przekonanie, że jest niedotykalnym aniołem stróżem króla, powstrzymał się od zamiaru powziętego w pierwszej chwili.

Tristan wyborną był obdarzony pamięcią, poznał on natychmiast w samotnym wędrowcu pochwyczonego raz i puszczonego posłańca księcia Nemours.

Przepuścił go i pozwolił mu iść bez przeszkody w dalszą drogę.

— Wyciągnęliśmy zatrute żądło temu młodemu szerszeniowi — bąkał do siebie Tristan. — Cóż mnie może obchodzić już teraz taki nieszkodliwy owad?

Burzliwie bijące serce Hugona uspokoiło się, gdy srogiego Tristana już minął. Zwolnił więc biedny chłopiec swe kroki.

Wtem niespodzianie, kiedy był na zakręcie drogi, rozległ się przeraźliwy krzyk, a ten, co go wydał, był to ów mały, gruby kupiec, wielbiciel Tristana. Kupiec był w rozpacz, wydierał sobie włosy z głowy i brody, krzycząc przeraźliwie:

— Ratujcie! ratujcie! napadli mnie, dusili, pieniądze i towarów pozbawili, wierne sługi zbili i obadwa wozy uprowadzili. Zgubiony jestem, zniszczony

na całe życie! Napróżno groziłem Tristana zemstą. Nie wierzyli moim słowom, wyśmiali mnie. O Tristanie! czemu nie byłeś gdzie w bliskości, żebyś był mógł słyszeć me skargi i rabusiów ukarać jak należało. Nim ja do wsi dojdę, już oni daleko swą zdobycz uprowadzą. O biada mi! biada!

— Mylisz się mój panie — rzekł śmiało Hugo — widziałem przed chwilą Tristana, jest ztąd bodaj o tysiąc kroków. Opuścił zaraz po tobie wioskę i zdawał się pod lasem czatować na poczet księcia Bretanii.

— Co słyszę! głos anioła? — zawołał do życia przywrócony kupiec. — O zlituj się nademną, kochany, młody aniele i doskocz twemi chyżemi nogami do Tristana, niechaj ściga rabusiów. Powiedz mu, że ich tylko sześciu było, że głowę dam moją pod topór, jeżeli to nie byli Bretończykowie i własni księcia ludzie. Tristan poleci za nimi, bo uważałem, że i jego i Bretończyków jego już i tak czegoś śledził. Skocz leć, mój miły chłopcze, wynagrodzę cię za to sownie, jeżeli mi się przyczynisz do odzyskania mojej własności. Widzisz sam, że mi już tchu braknie, że moje krótkie nogi ledwie mogą unieść gruby mój tułów.

Hugo Michelet umiał biegać o zakład, a wino dodało mu skrzydeł. Biegł chłopiec, a kupiec na nowo krzyczeć o pomoc rozpoczął i w najokropniejszej obawie za nim czekał.

Jeżeli zrabowanemu kupcowi głos Hugona wydawał się głosem anioła, to tentent galopujących rumaków był dla niego brzmieniem niebiańskiej muzyki.

Tristan ze swymi szubienicznikami dojechał do kupca, raz za razem sobie ślady rabusiów pokazać, które łatwo było poznać po głęboko werzniętej kolei od kół ciężko naładowanych wozów i znaków rosnących kopyt konskich.

Hugo także nadbiegł, a po krótkiej chwili usły-

szeli wystrzały z muszkietów. Był to znak, że już Tristan dopadł rabusiów i z nimi się rozprawiał.

Kupiec tak był pewny o pokonaniu rabusiów, że powtarzał kilkakrotnie, podrzucając z radości czapkę w górę:

— Zemsta! zemsta! i jeszcze zemsta! Słyszycie? — rzekł do swoich poranionych i leżących na ziemi ludzi. — Mężny Tristan mści się za nas. Niech żyje długie lata! Śmierć wszystkim rabusiom, chociażby oni i książętami Bretanii byli.

Niedługo ujrzał uszczęśliwiony kupiec swoje obadwa wozy, których ładunek powiększony został dwoma zabitymi i czterema zanionymi, zwyciężonymi i powiązanymi rabusiami.

Tristan odpowiedział na pytania i podziękowania kupca przez pakowanie jego własnych furmanów na wozy i spiesznie do wsi niedawno co opuszczonej się udał.

Żelazne oblicze Tristana rozjaśniło się, gdy ujrzał orszak księcia Bretanii jeszcze biesiadujący i gwarliwie rozprawiający przed karczmą.

Naturalnie pochód Tristana, naczelnego profosa, wracającego do wioski, zwabił jej mieszkańców i obudził ciekawość książęcej świty. Sam nawet książę Bretanii, Franciszek II-gi, przewyciężając nienawiść swoją ku Tristanowi i jego towarzyszom, wyszedł przed karczmę, aby ciekawość swoją zaspokoić, bo Tristan zatrzymał się opodal tylko niej.

Na widok księcia i reszty przytomnych Bretończyków, czterej powiązani rabusie żalosnym zawołali głosem z wozów:

— Zlitujcie się nad nami, miłosierny panie! zlitujcie się, zlitujcie!

— Z jakiej okoliczności znajdują się ci ludzie tutaj? — rzekł książę z wzrastającym gniewem, przybliżając się do naczelnego profosa. — Co zamysławicie

robić z nimi? Jak widzę, należą oni do sług moich i z tego powodu mam prawo żądać wydania mi ich.

— Ze tych ludzi do sług swoich wasza książęca mość liczysz, żałuję z całego serca — odpowiedział Tristan tonem w którym wybijało się szyderstwo. — Bo dopuścili się oni na publicznej drodze rabunku i zabójstwa na poddanych mego króla; zdybałem ich na świeżym uczynku.

— A zatem wydasz mi waszec tych nędzników — odrzekł książę Bretanii — jako należących do mojej jurysdykcji, abym ich podług praw naszych ukarać kazał.

— Żałuję, że nie mogę poddać się woli waszej książęcej mości — rzekł Tristan grzecznie. — Bo ci nędznicy, których jest sześciu, popełnili zbrodnię na ziemi pana mego, z tego powodu ja ich osądzę i ukarzę. Co się zaś tyczy wynagrodzenia pokrzywdzonego kupca i jego ciężko poranionych ludzi, należy je ściągnąć z rabusiów, albo z ich własności, jeżeli jaką posiadają. Po ściśłem obliczeniu szkody postara się wasza książęca mość koszta do królewskiego sądu odesłać. A teraz pozwól wasza książęca mość, że wyrok wykonać każe. Hej, ludzie! macie tam bodajnie piękny staw. Jest on dosyć głęboki, aby tym czterem rabusiom za wygodne łoże posłużył? jest wiele w nim ryb? — dodał Tristan, rzucając wzrok szydzący na nadwornego błazna, oniemiałego z przestachu.

— I jedną i drugą ma staw własność — jękał jeden z wieśniaków, drżąc z bojaźni.

— Dobrze, mój przyjacielu. Więc teraz — Tristan doniosłym zawołał głosem — w imię króla! Ponieważ Bretończykowie popełnili na publicznej drodze rabunek, dopuścili się napadu z bronią w rękę, opierali się władzy naczelnego profosa i jego pomocników, przeto skazuję czterech przy życiu zostających

na utopienie; dwóch zabitych na powieszenie na te wysokie drzewa; trzy dni wisieć będą i służyć za przykład odstraszaający od podobnej zbrodni, poczem ciała ich na najbliższem miejscu tracenia zagrzebanemi zostaną. Tak prawo nakazuje!... Spełniajcie wyrok!... — zawołał na swoich siepaczy naczelny profos.

Już zrobiono stósowne przygotowania, już po dwóch związanych, kamienie im do nóg przywiązano, już wleczono tych nieszczęśliwych do stawu, a ciała zabitych ciągnięto na drzewo, aby je na niem powiesić, kiedy książę Franciszek II, ochłonawszy z podziwienia nad bezczelnością Tristana, zgrzytając zębami ze złości, krzyknął z wściekłością, zwracając się do naczelnego profosa:

— Protestuję przeciw wyrokowi waszecinemu i wymagam wydania w moje ręce więźniów, jako ich panującemu władzcy i najwyższemu sędziemu. Jeżeli waszeć odważy się sprzeciwić mej woli, trzykroć przeważająca liczba mych ludzi gwałtem prze może waszeciną zuchwałość i opór.

— Żadna siła, ani przewaga ziemi nie powstrzyma mnie od wypełnienia moich powinności — odpowiedział Tristan z zimną powagą, zachęcając swych ludzi do przyspieszenia swojej pracy.

— A więc! — zakrzyknął pieniąc się od złości książę — jeżeli waszeć tego chcesz, niechaj spada odpowiedzialność za rozlanie krwi na głowę waszeci, mistrzu Tristanie. Bretończykowie, szykujcie się do boju! Wydrzyjcie temu oprawcy waszych braci i oddajcie ich pod prawy sąd waszego pana. Gotowiście? Rzućcie się na nich! Co? ociągacie się? bylibyścież tyle podli, żebyście się trzy razy mniejszej garstki ulękli? O hańba, hańba!

Ludzie książęcy wyciągnęli miecze, nabili muszkiety i do walki stanęli gotowi. Ale żaden się nie

ruszył na rozkaz księcia. Głuche szemranie przebiegło szeregi, a najbliższy i najznakomitszy towarzysz księcia, wyjaśnił mu tego oporu przyczynę.

— Miłościwy książę — odezwał się stłumionym głosem — wasi ludzie bez namysłu rzuciliby się na dziesięć razy liczniejszego nieprzyjaciela, gdyby on składał się z prawdziwych wojowników. Lecz prawo honoru nie pozwala im potykać się z służalcami siepacza. Zresztą spojrzij książę, jakie waszej książęcej mości grozi niebezpieczeństwo.

Książę spojrział i wzdrygnął się. Cztery lufy muszkietów wymierzyli oprawcy do czterech więźniów, tyleż zwróconych na księcia było.

Tristan, mieszczący się w liczbie celujących, rzekł najspokojniejszym głosem w świecie:

— Mam waszej książęcej mości zwrócić raz jeszcze uwagę na to, że ja tu stoję w imieniu króla Francji; że ja jego świętą i namaszczonej osobę zastępuję? Albo może sądzi wasza książęca mość, że serce Tristana jaką zastraszyć groźbą zdołasz? Strzeżcie się, książę! Za pierwszym poruszeniem waszej książęcej mości, albo jego ludzi, cztery kule prześlizgną ciało waszej książęcej mości i to tak pewno, jak jestem naczelnym profosem królewskim i jak się Tristanem pustelnikiem nazywam.

Tristan był znanym jako człowiek charakteru niezłomnego i żelaznej woli. Zdolnym był groźbę taką skutecznie.

Sam książę nie czuł się już pochopnym rzucać się na zgrają pozbawioną czci, a ponieważ poczet jego równą tchnął niechęcią, przeto poddał się przymuszony niezmiennej konieczności. Odwrócił się milcząc, wskoczył na swego konia, spiał go ostrogami i pędem strzały z orszakiem swoim puścił się w drogę.

Tristan odniósł wielki tryumf, poglądał z rozko-

szą na odjeżdżających, poczem wyrok z całą srogością wykonać rozkazał.

Historya zachowała nam daleko straszniejsze przykłady zbrodni i nieludzkiego karania z owych czasów, powinniśmy dziękować niebu, że czasy te przeszły, a głębiej wkorzenione zasady religii chrześcijańskiej, litościwiej usposobiły jej wyznawców. Pojawiały się wprawdzie i później i pojawiają się jeszcze i teraz niekiedy wybuchy wyuzdanego barbarzyństwa wśród wyznawców Chrystusa, ale ciepło Boskiej Jego nauki ogrzeje z czasem zlodowaciałe serca; cnota za panować musi nad światem, boć duszę człowieka stworzył Bóg na podobieństwo swoje.

ROZDZIAŁ IV

Spotkanie.

Kupiec, nazwiskiem Benedykt Vermeil, wrócił do swych towarów i pieniędzy. Jednakże narzekał na wyrządzoną mu przez złoczyńców szkodę i nieprzewidziane wstrzymanie go od dalszej podróży.

— Miasto Paryż — mówił — zamyśla zrobić naszemu królowi i panu wiażarek, który równego sobie na świecie nie miał. Ma być zrobiony olbrzymiej wielkości jelen z najwyborniejszych, najdroższych i najrzadszych materyałów, które wiozę ze sobą. Lubo imieniny królewskie przypadają w dniu trzeciego lipca, a my jeszcze nawet przy schyłku marca nie jesteśmy, to szczególny utwór tego upominku potrzebuje nader długiego przysposobienia. Gdybym ja tu miał czekać, póki moi parobcy nie wyzdrowieją, nadszedłby i trzeci lipiec, a jabym tu z moim towarem siedział, straciłbym gotówkę moją i obliczone zyski za wydany kapitał na towar. Prawda, że czcigodny pan Tristan, którego niech Bóg obdarzy największem błogosławieństwem, zatrzeźł sobie u księcia

Bretanii wynagrodzenie mi moich krzywd; ale ja to znam. Dla biednego kupca, gdzieby tam król z księciem wojował, a ten, dobrowolnie to nich nie da.

Tak wyrzekał kupiec, zapominając zupełnie, komu właściwie był winien swoje oswobodzenie. Nie wiele na tem zapomnieniu Hugo stracił, bo kupiec był jednym z największych skąpców na świecie.

Dwóch wieśniaków widząc jego ludzi poranionych, chciało podjąć się u niego służby za woźniców, lecz Vermeil bardzo się nad tem namyślał.

— Musiałbym być głupcem — mówił do siebie — żebym miał towary moje powierzać dwom nieznanym dragalom. Kto mi za to zaręczy, że oni mnie w pierwszym lepszym lesie nie napadną, nie zabiją i wozów moich nie zabiorą. Tysiąc pan Tristan powiesi, drugi tysiąc utopi, a mnogiego rodzaju złodziei i rabusiów nie wytępi.

Kiedy tak rozmyślał kupiec, spostrzegł Hugona zdala skromnie stojącego. Silna budowa jego ciała, zręczne obchodzenie się z końmi, doskonałe nogi i skromność chłopca, wielkimi były zaletami, których kupiec w sługach swoich zwykle dopatrywać lubił; zresztą niejaka ku niemu wdzięczność podała mu myśl, wziąć chłopca do siebie za woźnicę.

Hugo tem chętniej przyjął ten obowiązek na siebie, że nie wiedział, co ma począć z sobą. Przydał mu kupiec za kolegę bardzo niepozornego człowieka.

Późno już się w tym dniu zrobiło, przeto nie mógł kupiec już puścić się w dalszą podróż; został więc na noc w gospodzie i rannych swych ludzi w niej umieścił.

Jak dziecko, co się raz sparzyło, dmucha na ogień, tak i on lękał się napaści, uprosił zatem Hugona, aby noc całą czuwał przy naładowanych wozach.

— Ale wina mi już nie pij — mówił do niego filut kupiec — bobyś zasnąć mógł. Za to najedz

się do syta. A gdyby ci się spać zachciało, obmyj sobie twarz świeżą wodą. Jak tylko co zobaczysz, coby podejrzenie twoje wzbudzić miało, zagwizdnij tu oto na tej piszczałce, którą ci daję. Okaż się godnym twego stanu. Niech cię tu Najświętsza Panna i wszyscy Święci mają w swej opiece.

Pan Vermeil kilka razy wstał w nocy, poszedł obejrzeć swoje wozy i przekonać się, jak Hugo dopełnia jego rozkazów. Wozy stały nienaruszone, a stróża zastał trzeźwego. Hugo kilkakrotnie się zdrzemnąwszy, zrywał się nagle, biegł do studni i obmywał się wodą. Pomimo tego, oczy mu się kleiły. Z początku widok dwóch powieszonych w bliskości złoczyńców, strachem go przejmował i sen z powiek jego odganiał. Znużony całodziennym chodem, różnemi przygodami, czuwaniem tak długiem, uległ nakoniec potrzebie natury; usnął siedząc na ławce przed karczmą, oparty plecami o jej ścianę. Dziwne miał marzenia; śniło mu się o Tristanie, o Guichardzie i w rzeczy samej uczuł silną dłoń spadającą na ramię jego.

Człowiek jakiś stał przed nim i stłumionym głosem starał się go uspokoić:

— Cicho Hugo, ja jestem twój wuj Jakób. Dla ciebie tu przyszedłem, dowiedziawszy się od Tristana, że tu w tej karczmie się znajdujesz. Chcesz ruszyć do Paryża, dobrze robisz. Ja i tam o tobie pamiętać będę. O matkę i siostrę się nie troszcz. Ja je o twoim losie uwiadomię. Przedewszystkiem pamiętaj to sobie dokładnie, że bez mego wyraźnego rozkazu, nie wolno ci się z tem wydać, że jestem twym wujem. Gdybyś mi nie był posłuszny, musiałbym cofnąć opiekę moją nad tobą. Bywaj zdrów i postępuj sobie dobrze.

Coittier ucałował swego siostrzeńca, uścisnął za

rękę i spiesznie się oddalił. A po chwili usłyszał Hugo tentent oddalającego się konia.

Ledwie świtać zaczęło, Vermeil zaprzagać kazał. Kiedy płacił gospodarzowi za nocleg, polecił mu swoich ludzi i oświadczył, iż książę Bretanii za ich pielęgnowanie mu zapłaci.

Rozsądny gospodarz ani słuchać o tem nie chciał, wymagał od niego wyłożenia naprzód potrzebnej na ich utrzymanie kwoty pieniężnej.

Rozpoczęły się nowe wyrzekania skąpego kupca, lecz wszystko nic nie pomogło, musiał choć z wielkim bólem serca wypłacić tyle, ile gospodarz od niego wymagał.

ROZDZIAŁ V.

Ciężkie zmartwienie.

Pami Michel i córka jej Amelia trzy dni przeznaczone na podróż i powrót Hugona, przepędziły w największej obawie. Ta obawa w najdotkliwszą trwogę się zamieniała, gdy po upływie tego czasu Hugo nie wracał. Ileż to razy matka i córka wychodziły na drogę, całemi godzinami go wypatrując. Ileż to łez wylały.

Lecz nietylko w skromnem mieszkaniu pani Michel smutek i obawa się zagnieździły. Wysokie i wytwornie przybrane komnaty książęcego zamku nie były od nich wolne. Nie zuchwały i ze wszystkiego szydzący książę, ale niewinna małżonka jego wielkich doznawała udręczeń niepokoju o los męża i dzieci.

Aż nadto uzasadnionym był domysł księżnej Nemours, że posłanie zajęcy za pozór tylko księciu posłużyło do przesłania tajnego i zdradzieckiego pisma. Złamanie przysięgi, złożonej przez księcia na krzyż w Saint-Lo, straszniejsze się dla niej wydawało,

niż dla jej małżonka; widziała ona już miecz kata podniesiony nad głową księcia.

Ponieważ książę szyderczym śmiechem zbywał księżnę, gdy mu swe obawy wyjawiała, przeto smutna i cierpiąca szukała towarzystwa cierpiących; wybrała się więc razu jednego do wdowy Michelet, opłakującej stratę swego syna.

Smutek tych dwóch kobiet był im niejako wspólnym, bo jeżeliby wdowa Michelet została powrotem Hugona ucieszoną, to i księżna nie miałaby, przynajmniej tymczasowo, przyczyny lękać się o życie małżonka, bo chłopiec nie wpadłszy w ręce królewskich szpiegów, samemu tylko księciu Bretanii wręczyłby niepokojące ją pismo.

Biednej wdowie Michelet każdy kącik, każdy sprzęt przypominał ukochanego syna. Skoro rano wstała, a spojrzała na nienaruszone łóżko syna, rzewnymi łzami się zalewała. To samo się powtarzało przy śniadaniu, przy obiedzie, przy wieczerzy; płacz tylko przerywał ciszę. Wesole opowiadania, śpiewy, gwizdania, chętna pomoc chłopca przy wszystkich domowych zatrudnieniach, serdeczny śmiech, rychłe wykonywanie wszystkich życzeń matki i siostry, jakże go im nie miały uczynić drogim. Każdą rzecz, która po nim została, uważały za relikwię.

— Patrz matko — rzekła Amelia z płaczem — buty Hugona zbutwiały.

— Zbutwiały! Tak to go już dawno nie ma!... — powtórzyła boleścią przejęta matka. — Ach, Bóg to miły wie, na którym drzewie mój Hugo gnije... albo w którym stawie ryby się pastwią nad jego ciałem! O! buty jego zbutwiały! nigdy ich też już mój Hugo nie będzie nosił!

Rozpłakała się znowu biedna matka, a z nią i córka. Wtem weszła księżna Jolanda z dziećmi swemi do skromnego mieszkania wdowy.

— Zgaduję — rzekła księżna wzruszona — po kim płaczecie. Wierzaj mi, moja Michelet, ja z tobą zarówno cierpię i płaczę, lubo jeszcze nie całkiem straciłam nadzieję o powrocie Hugona. Dobry to i kochany był chłopiec.

— Oj prawda — odrzekła łkając pani Michelet — a przytem syn najposłuszniejszy i najwdzięczniejszy.

— Właściwie nie wiem dla czego — odpowiedziała księżna, własną obawę przytłumić się starając — tak się lękamy o twego syna. Drapieżnego zwierza, Bogu chwała, nie masz w naszej okolicy; złodziejeby się na niego nie rzucili, bo na cóżby się łaszczyli? drogi pobłądzić nie może, a ponieważ posłany jest z najniewinniejszym żartem, nie pojmuje, dla czegoby Tristan albo ktokolwiek inny chciał mu zrobić' co złego.

— Starszy mój syn, miłościwa księżno — odpowiedziała pani Michelet wzdychając — był z równie niewinnym wysłany żartem, trzy lata już temu, a jeszcze nie wraca. Ach, takim sposobem pozbawiona będę wszystkich mych dzieci.

— Przyszłam do ciebie, moja Michelet, już to was pocieszyć, już to ofiarować cokolwiek pieniędzy. Wiem to dobrze, że ci złoto nie wynagrodzi twego dziecięcia. Przyjmijże choć ten dar pieniężny odemnie i użyj go na opłacenie ludzi chcących się podjąć odzyskania twego Hugona, albo dowiedzenia się, jaki go los spotkał. Jabym się tem sama zatrudniła, ale się lękam gniewu męża mego, a więcej jeszcze lękam się zwrócić już i tak czujną uwagę srogiego Tristana.

— Dzięki wam, miłościwa księżno; gdybym za pomocą tego złota dowiedziała się o losie mego syna, o! jakżeby wam pani wdzięczną była!

— Przysyłaj, kochana Michelet, codziennie twoją córeczkę do kuchni książęcej; rozkażę, aby tam zawsze miano dla ciebie obiad gotowy. Jeźlibyś czego po-

trzebowała, udaj się do mnie, ja wszystko co tylko w mej będzie mocy udzielić nie omieszkam.

— Niechaj Bóg wam raczy tysiąckrotnie oddać to, co dla mnie czynicie, miłościwa księżno. Ach! gdyby wszyscy ludzie tyle mieli w sobie dobroci, ile wy, miłościwa pani, jakżeby to dobrze na świecie było. Czemże ja biedna wdowa będę mogła odwdzięczyć się za tyle łask, jakimi mnie obsypujecie, miłościwa księżno.

— Możesz mi wielką nawet odwdzięczyć się przysługą, oto módl się za mnie, za męża i za dzieci moje. Wierzaj mi, moja Michelet, mam ja także wielkie zmartwienie; och! i okropne mnie dręczy przecucie!... Marny to blask, nie zaś prawdziwe szczęście mieści się często w pałacach, a najbogatszy człowiek kraju jest nie rzadko może najbardziej politowania godzien.

Księżna przestała mówić i głęboko się zamyśliła. Nastąpiło głuche milczenie. Przerwał je po chwili Hektor, najmłodszy książę, ciekawie się dopytując, co znaczy takie zbutwiałe obuwie pod stołem, do kogo ono należy i poco ono się tam znajduje?

— To obuwie jest Hugona, brata mego — odpowiedziała Amelia z westchnieniem.

— Gdybym ja to był już taki wielki i mógł takie nosić obuwie! — rzekł znowu mały książę.

— Takiego obuwia nie wzięłbyś książę na nogi — odpowiedziała Amelia — za podłeby one było dla księcia.

— Oneby mi milsze było sto razy — odrzekł Hektor — aniżeli te ogromne buty z szkaradnymi ostrogami, któremi tak biedne koniki kaleczą. Gdybym ja miał tak się obchodzić z moim konikiem, wolałbym wcale nie jeździć na nim. A jak do tego jeszcze ten brzydki Lerreau bije i konie i psy!

— To prawda — rzekł Isouard, starszy książę

— ale to wszystko jeszcze nic. Lerreau, z którym teraz połowę każdego dnia przepędzać musimy, zakłada wyżłom ostre kolce na szyję i głodzi je okropnie, jeżeli nie pojmują prędko tego, czego ich uczy. Zeby je ułożyć do polowania na dziki, każe złapać żywego dzika, wybija mu kły, przetrąca tylne nogi, wypuszcza na niego całą sforę młodych wyżłów, które go okropnie rozszarpują, bo nie ma się już czem bronić. Wystaw sobie, Amelio, wczoraj widziałem, jak taki dzik z wielkiego strachu wdrapywał się aż na mur zamkowy. Bardzo mi go się żał zrobiło, Lerreau mnie za to ostro wyłajał.

— A lisy niebożęta — odezwał się znowu Hektor — te Lerreau rzuca wysoko, wysoko w górę póty, póki im się wszystkie kości nie pogruchotają, gdy na ziemię padają; ach, a jak te biedne lisy okropnie się męczą, nim zdechną.

— Przypominasz sobie tego pysznego jelenia — zapytał Isouard brata swego — jak to na ostatniem polowaniu, mając już w sobie dwie kule i sześciu strzałami ugodzony, a jeszcze umrzeć nie mógł? Jak się nareszcie zastanowił i kaszleć zaczął, a krew mu się tylko lała z gardła?

— Przestańcie już tego waszego opowiadania — odezwała się księżniczka Helena. — Aż mnie dreszcz przejął. Powiedzcie mi raczej, nie jestże to tu bardzo ładnie, miło, spokojnie?

— Zapewne — odpowiedział książę Isouard — tu mi się daleko lepiej podoba, niż w naszych wysokich, zimnych komnatach; tam strach własnych kroków, tak okropnie się odbijają. Tu nie słysząc tego nieznośnego wycia psów, rżenia koni; ani spać przed tym hałasem nie można. Widok tu ztąd na park i pole nierównie też piękniejszy niż z naszych okien; bo na cóż my tam patrzymy? na nudny tylko dziedziniec zamkowy.

— Jak urosnę i będę taki duży jak mój ojciec i wolno mi będzie rozkazywać, to tu się wprowadzę — odezwał się mały książę Hektor.

— A to pięknie — rzekła z uśmiechem księżniczka — tobyś ty chciał panią Michelet pozbawić mieszkania?

— Nie, nie, tak ja nie myślałem — odpowiedział mały książę. — Ja sobie każę wybudować taki mały, ładny domek, będę w nim mieszkał i będę się z Hugonem bawił, jeśli wróci.

Tu księżna wstając, przerwała rozmowę dzieci i rzekła po pani Michelet:

— Bądź taka dobra, otwórz mi grobowiec. Taki mnie smutek przyciska, że się w nim chcę wypłakać do woli. Może i ulżę sobie. Groby umarłych wzbudzają w nas uczucie wyższości nad wszelkimi cierpieniami życia ziemskiego.

Wdowa otworzyła drzwi do grobu książęcego; księżna weszła sama do niego, dzieci pozostały przy wdowie i jej córce. Przechadzając się po parku, zbliżyły się do okna grobowca i usłyszały płacz matki.

— Słyszycie, jak to mama płacze? — zawołał mały Hektor.

— Ona teraz bardzo często płacze, daleko częściej niż przedtem — mówił książę Isouard.

Wyszła księżna z grobowca, bledsze lice i zamglone oczy świadczyły jedynie o jej serca boleści, bo łez na jej twarzy widać już nie było, starała ślad ich starannie, by go ukryć przed dziećmi i mężem i wróciła do siebie.

Pani Michelet nie zaniedbała użyć wszelkich środków, by się dowiedzieć o losie Hugona; lecz, mimo sowitych nagród, żadnej o nim wiadomości nie powzięła.

Już biedna wdowa straciła wszelką nadzieję oglądania kiedykolwiek syna swego, kiedy pewnego

wieczora zjawił się Jakób Coittier w jej domu. Przyjęła go ze łzami siostra, błagając, aby się przynajmniej starał dowiedzieć, jaki los spotkał Hugona.

— Uspokój się, wiem o nim, żyje, jest obecnie w Paryżu i dobrze mu się wiedzie, atoli zaklinam was, milczcie o tem. Ja mam szczególną opiekę nad nim. Wrócić tu już nie może, chyba wtedy, gdy się waszemu księciu odechce wysyłać swych poddanych do przyjaciół z niebezpiecznymi listami.

Słowa te wlały nowe życie w matkę i córkę. Rzuciły się Jakóbowi na szyję i ręce jego z wdzięcznością ucałowały.

Pani Michelet odezwała się nakoniec:

— Pozwól mi choć tylko księżnę uwiadomić o życiu Hugona. Ona taki serdeczny udział brała w mojem nieszczęściu, że miałabym sobie za grzech, gdybym ją miała zostawić w niepewności o losie tego chłopca.

— Nie, nie, nikt, oprócz was nie może być do mojej tajemnicy dopuszczony. Ani książę, ani księżna, żadnej stąd nie odniosą korzyści, że młody ich posłaniec uniknął stryczka Tristana, a mniebyś naraziła na wielkie niebezpieczeństwo. Książęta Nemours dawno już chodzą po ukrytym, a gotującym się wulkanie, który już teraz jest blizkim wybuchu...

— Żał mi księżnej i jej dzieci — odpowiedziała pani Michelet. — Ach, ona taka uprzejma, łaskawa i dobroczynna dla nas. Pełną garść dała mi złota, ażebym mogła za jego pomocą dowiedzieć się o Hugonie.

— Gdyby książę nie poświęcał swej małżonki i dzieci zbytnej miłości własnej i niezmiernej swej dumie — mówił Coittier — wszystkoby było dobrze. Przestrzegano go po kilka razy, a przecież nadużywa cierpliwości króla. Lecz już największy czas, abym

was pożegnał. Bądźcie spokojne o Hugona, bywajcie zdrowe, a strzeżcie się niepotrzebnej gadatliwości. Po powiedziawszy uściskał siostrę, ucałował Amelię i oddalił się.

ROZDZIAŁ VI.

P a s z t e t n i k.

Przy ulicy św. Michała w Paryżu stał dom dwupiętrowy, mający cztery okna w szerokości. Mur czarny i opatrzone żelaznemi kratami dolne okna, kazały się w nim domyślać raczej więzienia, niż domu mieszkalnego. Tymczasem, nad zaokrąglonemi drzwiami zawieszony był szyld, na którym był wymalowany człowiek w białym kaftaniku, w białym fartuchu i w białym ubraniu na głowie, niosący na półmisku pasztet wysoki jak babilońska wieża. Pod tem malowidłem, wielkimi złotemi literami te słowa były wypisane:

„Piotr Escabeau, pasztetnik i cukiernik królewski.“

Za Ludwika XI. cukrownictwo jeszcze na bardzo niskim stało stopniu. Trzcinę cukrową dopiero co w Europie poznano, była drogim i rzadkim towarem, dla tego używano wówczas miodu i soków wyciśniętych z rozmaitych owoców do ciast przyprawiania. Piotr Escabeau mógłby się tem poszczycić, że pierwszy zaczął używać trzciny cukrowej. Dla niego to wioził kupiec Vermeil cukrowe i korzenne bakalie; on to miał dać dowód swego dowcipu i zręczności w wykonaniu olbrzymiego jelenia, przeznaczonego na wiązarek od mieszkańców Paryża dla króla w dzień jego imienin.

Chude, wyschłe i słabowite cukierników figury powinnyby wzbudzić sprawiedliwą nieufność do słodczy i łakoci wymyślonych tylko na drażnienie po-

dniebienia, nie zaś do wzmocnienia i pożywienia ludzi. Bo i Piotr Escabeau nie robił w swej konfraterni wyjątku; bodaj kto był chudszy i bardziej suchy jak on, choć utrzymywał, że przyrządzając słodkie specjały, niemi się przecież nie żywił; miał jednak zawsze w swojej cukierni pełno kupujących, może dla tego, że żona jego robiła znów sztuce cukierniczej zaszczyt, bo było na co spojrzeć, tak była okazałej tuszy.

Pani Sybilla Escabeau podobną była księżycowi w pełni, a pan Piotr Escabeau wyglądał przy niej jak ostatnia kwadra.

Podczas kiedy mąż pocił się od gorąca w piekarni, albo tłukł korzenie i łykał unoszący się z nich pyłek, tak szkodliwy wpływ na płuca wywierający, pani Sybilla rozsiadała się w cukierni za stołami pokrytymi rozmaitego gatunku i wielkości słodyczami, pasztetami i innemi wyszukanemi specyałami, do których zachęcała przechodniów i sama się niemi delektowała.

Nie miał Escabeau nigdy pomocnika, dopiero za usilną prośbą pana Coittier, przybocznego lekarza króla, wziął do siebie chłopca. Dał się może do tego i z tego powodu namówić, że, jak mu się zdawało, chłopiec ten nie będzie dla niego niebezpiecznym uczniem, bo mu jakoś z fizyognomii mało wyglądało dowcipu, aby był zdolnym odkryć tak łatwo sekret jego pieczywa.

Może czytelnik już odgadł, że tym uczniem był Hugo Michelet, który opuściwszy pierwszego swego pana, kupca Vermeil, przeniósł się w służbę do królewskiego pasztetnika.

Pani Escabeau, rej w domu wiodącej, nie podobał się ze swego imienia „Hugo“; przechrzcila go więc „Jasminem.“ Było wówczas modą długie włosy mężczyzn chować w woreczki; pochodziła ta moda

od kucharzy i cukierników, noszących z bardzo chwalebnej przyczyny włosy w woreczkach, ażeby zaś przypadkiem włos nie dostał się w jadło albo w ciasto, a tym sposobem w jedzącym nie sprawił obrzydzenia.

Hugona Michelet zaledwie poznać można było w teraźniejszym cukierniczku Jasminie. Czarne jego loki nad czołem kryły się w białej duchence, a reszta jego długich włosów na tyle głowy w czarnym woreczku. Kaftanik biały i tegoż koloru obszerny fartuch, zakrywał całą jego figurę.

Na wstępie do domu cukiernika, napomniął go tenże, aby nie był łakomym.

— Nie myśl, żebyś mnie miał oszukać kiedy; każdy cukierek, ciastko i pasztecik jest policzony... Zresztą bierz ze mnie przykład, smakuje tylko tyle, ile potrzeba do przyprawy wszystkiego, a oprócz tego żywię się najpospolitszemi strawami.

Jasmin przyrzekł mu posłuszeństwo i został mu wiernym, lubo nieraz brała go ochota na smacznie wyglądające łakocie. Oprócz zwykłych posług domowych, jakie wypełniać musiał, miał na siebie nałożony obowiązek stać i uważać w cukierni na kupujących; gdy się ich do niej wiele zeszło, wtedy nie wystarczały już oczy pani Sybilli. Bo już wtenczas nie raz wkręcił się taki, co umiał najeść się bez zapłaty i jeszcze nie mało nabrać sobie w kieszeń.

Uczciwy, wierny i chętny Jasmin zyskał większe zaufanie i przychylność tłusciutkiej pani Sybilli, niż suchego jej męża, który zwykł często mawiać: „że nikomu nic powierzyć nie można“.

Obok cukierni był gabinet z zasłoniętymi oknami, przez które słabe tylko przeciskało się światło, przeznaczony dla osób nie lubiących być wystawionemi na ciekawy wzrok przechodniów.

Mały, chuderlawy człowieczek, w płaszcz zimowy

otulony, wsuwał się najczęściej przy schyłku dnia do zaćmionego gabinetu, gdzie zjadał smaczne paszteciki, nadziane siekanem mięsem i grzybkami.

Pani Escabeau i jej godny mężulek okazywali tej niepozornej figurce niezwykle uszanowanie i gotowość usługi.

— A złodzieju! — zawołał jednego wieczora cukiernik, szarpiąc za ucho Jasmina. — Braknie mi sześć osmażanych kasztanów i trzy makaroniki, niezawodnie je zjadłeś. Nie zapieraj się, bo ci dam na wómitę, a wtedy biada tobie, jeżeli się wyda twoje szelmostwo.

Kiedy Jasmin zmartwiony przysięgał, że nic nie zjadł, wzięła go w obronę pani Sybilla.

— niesprawiedliwie go karzesz, Piotrze — mówiła. — Jego tu przez całe dwie godziny nie było, a tylko w tym czasie kradzież ta popełnioną została. Nie wiem, ktoby jej się dopuścił, chyba Olivier djabł, bo nikt więcej tu nie wszedł.

Jasmin po pierwszy raz słyszał to nazwisko; lubo ciekawość jego była bardzo zaostrona, ktoby je nosił, nie śmiał o nic pytać; lecz sam odkrył, że ów mały, zawsze w czarne sukienne lub jedwabne okrycie otulony człowiek i na wszystkie strony ciągle małe swe przenikliwe oczka rzucający, tem mianem był zaszczycony.

Już ten jego przydomek „djabła“ bardzo się Jasminowi słusznym wydawał, albowiem zwykle, gdy pan Olivier wyszedł, brakło specyałów, pasztecików, a cukiernik straszliwie piorunował i groził Jasminowi wypędzeniem.

Przedsięwziął więc sobie uczeń pilnie uważać na rączki djabła bystrookiego, aby go mógł złapać na uczynku, lecz zabiegi jego zawsze mu się nie udawały.

Wymyślił наконец sposób, który mu się bardzo poszcęścił.

Skoro tylko pan Olivier wszedł do cukierni i zaczął pod okiem pani Sybilli wybierać ciasta, ukrył się Jasmin w gabinecie pod dużym, okrągłym stołem, na którym leżało wielkie, w ciemne wzory wyszyte nakrycie, spadające aż na ziemię. Łatwo to mógł niewidziany skutecznie, że drugie drzwi ze sieni prowadziły do gabinetu. Nie domyślając się niemiłego świadka, Olivier usiadł przy stole i zaczął z wielkiem upodobaniem zjadać świeże paszteciki. Po upływie sporej chwili, nie słysząc już było kłaskania, z czego słuszny Jasmin wyprowadził wniosek, że pan Olivir już zjadł paszteciki. Zdawało się także chłopcu, jak gdyby pan Olivier lekko się podniósł i skradał kocim krokiem ku zasłonie, dzielącej gabinet od cukierni, przy której stanął i czegoś podsłuchiwał. Nagle rozległ się odgłos uderzeń żelaznego młota o drzwi domu, co spowodowało żonę cukiernika, że natychmiast porwała się z krzesła. Z gniewem wołając:

— Już to znowu poczynacie wasze niegodziwe swawole? — otyła kobieta wytoczyła się z za stołu, aby wyjść do sieni i wyjrzeć, ktoby był sprawcą tego hałasu. Bo pani Sybilla nie mając na zawołanie ani meża, ani chłopca, sama musiała podjąć się wymierzenia kary psotnikom. Korzystając z tej chwili, w której słodki skarb pozbawiony był stróża, pospieszył pan Olivier do stołu zastawionego ciastami i wrócił czempredzej ze zdobyczą swoją do gabinetu, nim pani Sybilla, złorzeczając ulicznikom paryzkim, [którzy za jej ukazaniem się przed domem na wszystkie się strony rozpiechli, za stołem znowu zasiadła.

Jasmin uchyliwszy cokolwiek pokrycia stołu, pod stórym siedział, każde poruszenie diabła śledził; czego nie widział, co się w cukierni działo, to dosłyszał; reszty się domyślił.

Oburzył się Jasmin tak dalece na złodzieja nie tylko ciastek, ale i honoru jego, że formalną walkę stoczył ze sobą, żeby się zachować spokojnie, póki pan Olivier nie odejdzie, bo wtedy postanowił uwia- domić swoją panią o spełnionej kradzieży.

Kiedy Jasmin drżący i rozczzerwieniony od gnie- wu djabła Olivier nazwał złodziejem przed panią Sy- billą, z zdumieniem i niedowierzaniem zawołała:

— To niepodobno, Jasminie. Przewidziałeś się i przestyszałeś w ślepej twojej uprzedzeniu. Jaki? człowiek tak majętny, hrabia, komendant miasta, miałby ryzykować dla kilku groszy swój honor?... Strzeż się, mój chłopcze, nie wydawaj się z tem, coś do mnie powiedział, bo pan Olivier mściwy i nieubła- gany, a ramię jego silne i daleko sięga.

— Co? — odpowiedział Jasmin zdziwiony — ten mały, suchy djabeł, byłby tak bogatym hrabią i miasta komendantem? To chyba pani sobie żartu- jesz ze mnie?

— Tak jest, jak ci powiadam — odrzekła żona cukiernika. — Ten bogaty hrabia i samowładny ko- mendant miasta był początkowo i to przez długie lata niczem więcej, jak tylko golibrodą naszego naj- jaśniejszego króla. Umiął się tak przypodobać kró- lowi, że tenże już obyc się bez niego nie mógł. A przez swoje mądre rady takie mu oddawał przy- sługi, że go król wyniósł do dzisiejszej godności i wielkie ma wpływy u króla. Widzisz, że posadzić tak możnego pana o kradzież tyleby znaczyło, co do- puścić się zbrodni stanu; aniby się obejrzał, a jużby ci głowa z karku spadała.

— Sama pani nazwałaś go djabełem, a nigdy nie słyszałem, abys go hrabią albo komendantem tytuło- wała — mówił Jasmin.

— Przydomek djabła, którego nie można w jego wymówić obecności — rzekła pani Sybilla — lud

mu nadał wskutek złych jego namiętności. Nani zaś wyraźnie zakazał wymienić jego godności, bo chce tu bywać nieznany.

— A cóż się to ze mną stanie? — narzekał Jasmin — jeżeli djabeł Olivier będzie zawsze ciasta zjadał, a mąż pani, mnie zawsze o tę kradzież obwiniać będzie?

— Przedewszystkiem — mówiła pani Sybilla — musimy się przekonać, czy pukanie do drzwi jest tylko przypadkowem, czy też umówionym znakiem pomiędzy panem Olivier a jego sługasami. Potrafię ja już chwycić się środków, które go powstrzymają od dalszego zjadania mi ciastek ukradkiem.

Mądrymu temu wyrokowi musiał się poddać Jasmin, jednakże mruknął sobie pod nosem:

— A któż mnie zabroni chwycić się także środków, któreby temu niewczesnemu pukaniu zapobiedz mogły.

Środek najpierwszy, jakiego się Jasmin chwycił, był to porządny kij, którym myślał przywitać sługusa hrabiego.

W rzeczy samej zaledwie się nazajutrz zmierzchnęło, a hrabia wszedł do cukierni, Jasmin zaczął się w sieni w najciemniejszym kącie i nie napróżno; niezadługo ujrzał postać mężką, biegnącą z ulicy ku drzwiom domu, aby znowu młotem narobić zwykłej breweryi. Lecz omylił się hultaj tą razą, albowiem uczeń zręcznie poskoczył ku niemu, w pas pochwycił i kijem porządnie wygrzmocił. Razy tak prędko i silnie jedno po drugich padały, że nieprzygotowanego na takie przyjęcie człowieka przytomność odbiegła, o obronie swej ani pomyślał, znosił ciosy cierpliwie, starając się wyrwać z rąk Jasmina i ratować ucieczką, co mu się nareszcie udało.

Po tem zadosyćuczynieniu za tylokrotne posadzanie go o nieuczciwość, Jasmin uczuł się spokoj-

niejszym, a tak on jak i pani Sybilla doczekali się tej pociechy, że pan Olivier, zaszczycony jeszcze jednym oprócz diabła przydomkiem „daniela“ (le daim), zaprzestał odtąd zjadania niekosztownym sposobem pasztecików i innych przysmaków.

Ale Jasmin nie przeczuwał wcale, że przez wymierzoną samowolnie sobie sprawiedliwość na dawniejszym golibrodzie królewskim i jego posługaczu, pozyskał dla siebie w pierwszym nazbyt niebezpiecznego wroga, bo wybity poznał po białym ubiorze Jasmina, komu zawdzięczał plagi i komu je odpłacić należało.

Tymczasem zbliżał się dzień urodzin Ludwika XI-go, w którym sztuka pana Piotra Escabeau w najpiękniejszym świetle zajaśnieć miała.

Zamówiony od miasta Paryża u niego olbrzymi jelen, z cukrów i osmażanych owoców złożony, był arcydziełem sztuki cukiernictwa i nie mało Piotr Escabeau nim się pysznił.

Całe bractwo cukierników w białych ubraniach, jak jakie z tamtego świata istoty, towarzyszyło niosącemu wspaniałego jelenia do zamku królewskiego. Połowę mieszkańców Paryża wysypało się, aby oglądać ten cudny utwór.

Pierwszy raz w życiu swoim Jasmin wszedłszy do przybytku królów, gapił się i oczy wytrzeszczał na przepych, jaki go tam otaczał. On, biedny chłopiec, czuł się małym tylko robaczkiem wśród tych wszystkich bogactw, choć podług przepowiedni wuja, miał życie ocalić królowi. Jakaż myśl upajająca!

Ludwik XI lubił nietylko ubierać się zwykłe jak jaki mieszczanin, jakeśmy już o tem wspomnieli, lecz lubił także być dla mieszczan bardzo przystępny, kiedy właśnie najszlachetniejszych i najmocniejszych hołdowników swego państwa starał się do pokory znaglać.

Często się zdarzało, że król z królową, albo też sam jeden, zaprosił się w gościnę do jakiego mieszczanina albo rzemieślnika, tego i owego odwiedził, po przyjacielsku się z nim rozmówił, a nawet pożartował. Taki zaszczyt kilka już razy spotkał Piotra Escabeau, z tego powodu ukazanie się Monarchy w cukierni nie robiło już przestraszającego wrażenia.

Było to kilka dni po urodzinach królewskich, kiedy Olivier, niegdyś golibroda, dosyć późno wieczorem wszedł do cukierni, w której pani Sybilla i Jasmin się znajdowali. Zaledwie wybrał sobie Olivier paszteciki i wyszedł do gabinetu z talerzem w ręką ukazał się niespodzianie król w towarzystwie jakiegoś znakomitego, ale nieznanego kawalera. Dźwięk głosu królewskiego uderzył jak piorun w delikatny słuch smacznie sobie zającającego pana Olivier, który natychmiast zerwał się z miejsca i chciał umknąć drugimi drzwiami gabinetu. Lecz na swoje wielkie zmartwienie znalazł je mocno zamknięte, powziął więc nagły zamiar ukrycia się z swoim talerzem pod stół, na którym duże leżało pokrycie. Jakie powody skłoniły do takiego postąpienia sobie ulubieńca królewskiego, to zgadnąć trudno, boć jedzenie pasztecików nie mogło mu nic zaszkodzić w umyśle króla.

Wprawdzie wiele jest takich ludzi, którzy w obliczu świata największe zbrodnie i niesprawiedliwości popełniają, a o nic nieznaczące rzeczy wstyd czują niepojęty.

Ludwik XI kilka powiedziawszy pochlebnych wyrazów, ściągających się do arcydzieła Piotra Escabeau, prosił pani Sybilli o wybranie dla niego bakalii, które chciał spożyć z swoim towarzyszem i udał się do gabinetu, w którym nikogo nie zastał.

Pani Escabeau nie uwiadomiła króla o trzecim gościu będącym w gabinecie, ponieważ o to nie była

zapytana. Nadstawiała uszów, aby posłyszeć jak pan Olivier króla witać będzie, lecz omyliwszy się w swym oczekiwaniu, domyśliła się, że Olivier gdzieś się ukrył.

Unikając jakiego starcia, posłała pani Escabeau swego ucznia z słodyczami dla króla do gabinetu, gdzie Jasmin zdziwiony że zamiast trzech, dwie tylko osoby widział — spojrzał znaczącym wzrokiem, stawiając na stół talerze, na nakrycie stołu spadające do ziemi; przyszło mu bowiem zaraz na myśl, że Olivier nie mogąc wyjść drzwiami, które na rozkaz wyraźny swej pani sam własną ręką zamknął, pod stół się ukrył.

Nie musiałby być Ludwik XI tak podejrzliwym i na najmniejszą okoliczność tak baczny, żeby mu miało ująć uwagi Jasmina wejrzenie znaczące. Jedną więc ręką uniosłszy okrycie, drugą schwyciwszy świecznik, poświecił pod stół.

Tu go czekał równie niespodziewany jak trudny do opisania śmieszny widok, który zmienił początkowy przestach jego, widząc tak blisko siebie ukrytego człowieka, w śmiech głośny.

Pod stołem siedział, jak jakie półtora nieszczęścia, mały, suchy, skurczony Olivier, zawstydzony, jak uczeń na złym uczynku złapany. Trzymał talerz oburącz przed sobą jakby na swoje uniewinnienie i wymawiał niezrozumiałe słowa.

— A, zdrajco! — zawołał król z udanym gniewem — zasłużyłeś, żebym cię przebił moją szpadą. Miałeś zamiar skrycie mnie zamordować! Przyznaj się, albo cię każę wsadzić na tortury. Dzięki wszystkim Świętym i temu błaznowi, że mnie ostrzegł znaczącym swym wzrokiem. Dopiero mi niedawno mój lekarz Coittier przepowiedział, że młody chłopiec wybawi mnie od śmierci. Jeżeli ten tu ma dwie soczewki na karku, to przepowiednia mego lekarza się spełniła.

— Ach, najjaśniejszy panie! — odpowiedział Olivier, wylażąc pomału z pod stołu, przy której to sposobności paszteciki z talerza sobie na ziemię zrzucał — każ mnie przetrząsnąć, a jeśli oprócz kilka sztuk pieniędzy znajdzie się co jeszcze przy mnie, chętnie śmierć poniosę. Nie mam żadnej broni. Apetyt na paszteciki zwabił mnie jedynie do cukierni. Gdym posłyszał głos waszej królewskiej mości, chcąc Jej miejsca ustąpić, zamierzałem wyjść tamtęmi drzwiami; zastawszy je zamknięte, a sądząc, że wasza królewska mość nie życzyłaby sobie, aby Jej tu obecność była komu wiadomą, skryłem się pod ten stół. Oprócz tego niewidziany, czuwałem jak dobry anioł, nad bezpieczeństwem mego najmiłościwszego pana i byłbym bez namysłu życie moje za najjaśniejszego pana położył.

— Przestań na Boga! Olivier przestań już — śmiejąc się król do rozpuku, wołał: — Ha, ha, ty ty anioł dobry! Ty wiesz o tem doskonale, że ci dano przydomek „djabła“. Już ci wierzę i przebaczam ci twoje zachcenie pobawienia się w chowanego. Lecz teraz wychódź i idź zaspokoić twój apetyt gdzieindziej.

Wyszedł na dobre z pod stołu Olivier i ciągle się kłaniając aż do ziemi, wycofał się z gabinetu, rzucając gniewny wzrok na Jasminę.

ROZDZIAŁ VII.

Więzienie i zaszczyt.

Hugo czyli Jasmin, miał wkrótce doświadczyć skutków tego zawziętego rzutu oka dawniejszego go-librody królewskiego; mniemał bowiem tenże, że powinien zemścić się na Hugonie za sponiewieranie jednego ze swoich posługaczy; tudzież czuł się obowiązany nie darować mu zdradzenia przed królem bytności swojej w gabinecie. Kilka dni zatem po nie-

fortunnem owem spotkaniu, kiedy właśnie Jasmin był już późno wieczorem wysłany do miasta, czyhający już na niego oprawcy, na zakręcie ciemnej i ciasnej uliczki, napadli na niego i przylepili mu na twarz plaster ze smoły.

Biedny chłopiec pozbawiony raptem wzroku, mowy i oddechu, starał się rękoma zedrzeć sobie z twarzy plaster, lecz wtem uczuł, jak go ktoś w silne porwał ramiona, niósł kawałek i po jakimś czasie posadził na ziemię.

Już sądził, że się udusi, gdy uwolnionym został od plastra i ujrzał się w obszernej izbie, słabem światłem małej lampki oświetlonej.

Oprócz niego było tam jeszcze dwóch ludzi; jeden z nich trzymał jeszcze zdjęty dopiero co plaster z jego twarzy, a drugi miał już przygotowany w rękę knebel, który mu w usta założyli i tym sposobem znowu go pozbawili mowy i krzyku.

— Otóż chłopcze — rzekł jeden z oprawców do Jasmina — odbierzesz teraz z procentem razy, któremiś tak hojnie częstowałeś.

I zaczął prętem tak Jasmina okładać, że towarzyszy jego zdjęty litością nad chłopcem, zatrzymał mu rękę.

Omdlałemu prawie z bólu Jasminowi zarzucono na głowę czarne okrycie i zaniecono do stojącego już przed domem wozu, wsadzono go na niego, zacięto konie i ruszono z miejsca.

Po długiej i uciążliwej podróży, podczas której tylko w lasach lub w jakiej pustej okolicy pozwalano odpoczywać biednemu zbitemu Jasminowi, zawłókł się nareszcie wóz z więźniem, przebywszy poprzednio kilka bram sklepionych, do dziedzińca na okół wysokimi murami otoczonego. Tam to był kres tej nieszczęsnej podróży dla Jasmina.

Po wyjeździe z Paryża wyjęto Jasminowi z ust

knebel, lecz krótko przed wjazdem do bram znowu mu założony został; dopiero gdy miał zesiadać z wozu, uwolniono go od tej tortury, zaprowadzono do obszernej komnaty, gdzie mu dano chleb i wodę, posłanie ze słomy wskazano i zamknięto na klucz.

Jasmin był tak okropnie znużony i zbolały, że zaledwie zjadł kawałek chleba i napił się cokolwiek wody, rzucił się na słomę, zasnął natychmiast i spał długi czas jak zabity.

Gdy się nareszcie obudził ciemno było, a znalazłszy po omacku chleb i wodę i zaspokoivszy nieco głód i pragnienie, zasnął powtórnie. Sen jego przerywanym został jakimś ciężkiem westchnieniem, kilkakrotnie powtórzonem, po którym nastąpiła cicha rozmowa stłumionym głosem, jak mu się zdawało, dwóch mężczyzn. Lecz zanadto sam i zbolały i nieszczęśliwy się czując, żeby się mógł zajmować cudzą niedolą, nie zważał długo na nieustające szepty i zasnął znowu. Tem większe nazajutrz przejęło go przeżenie, gdy ujrzał, za pomocą wdzierającego się światła dziennego, przez gęste kraty więzennego okna, dwie dziwne ogromne na kółkach ruchomych stojące klatki z drzewa żelazem okutego, w dwóch przeciwległych rogach obszernego pokoju się znajdujące, z których każda zawierała jednego nieszczęśliwego więźnia. Byli to dwaj dygnitarze, kapłani; jeden z nich był ulubieniec królewski, a obadwaj o zdradę stanu obwinieni, od trzech lat w tem, szczególnego w swoim rodzaju, a odpowiedniego srogości króla, więzieniu osadzeni. Jeden z tych więźniów był to Ballue, kardynał z Angers, o którego uwolnienie napróżno starał się papież; a drugi Haraucourt, biskup z Verdun. Ludwik XI wahał się skarać ich mieczem, jak to uczynił z drugimi; wzdrygał on się krew rozlewać dwóch kapłanów, tak wysoką godność kościoła piastujących.

Jasmin, którego więzienie bez porównania było znośniejsze, litował się bardzo nad tymi nieszczęśliwymi i starał się podczas swego z nimi pobytu, ulżyć ich cierpieniom, oddając im rozmaite przysługi. Uległość, z jaką znosił los swój; łagodność i powolność, jaką okazywał dla swych dozorców i przełożonych nad temiż, zjednały mu przychylność wszystkich razem. A nie zdradzając swem postępowaniem najmniejszej ochoty do ucieczki, zyskał pozwolenie tak od dyrektora więzienia, jako i od margrabiego warownego zamku, chodzenia wszędzie i podejmowania niektórych zatrudnień.

Lecz pragnienie wolności nie było w Jasminie bynajmniej tak stłumione, żeby nie miał upatrywać, a upatrzywszy sposobność, z niej nie korzystać.

Uciekł wkrótce, lubo z niebezpieczeństwem życia swego, ale szczęśliwie, z zamku Loches, którego Olivier djabeł był kapitanem.

Kiedy Hugo czyli Jasmin uskutečnił swoją ucieczkę, było to w końcu lipca, a od czasu oddalenia się jego od matki przeszło cztery miesiące.

Latowa pora posłużyła o tyle uciekającemu, że mógł chronić się przed upałem w cieniu drzew i krzaków; wysypiać się na świeżem sianie i żywić się leśnemi, ogrodowemi i polnemi owocami.

Tak błądząc i zapuszczając się w nieznane okolice, dostał się w pobliże miasta Alençon, a dowiedziawszy się, że król w niem się znajduje, uważał to jako wskazówkę tego, co miał przedsięwziąć w trudnem swem położeniu.

Spodziewał się spotkać wuja, zostającego prawie zawsze przy boku króla i znaleźć w nim nad sobą opiekę, a w najgorszym razie wystąpić jako duch opiekuńczy króla i w tej roli zaskarżyć eksgolarza jego o gwałt na nim popełniony.

— Król — mówił niedoświadczony chłopiec do siebie — ciężką swą prawicę spuszcza szczególnie na znakomitych swych poddanych, tym łaskawszym okazuje się dla mieszczan i chłopów. To i mnie posłucha i sprawiedliwym dla mnie będzie. Zresztą odkryję tak moją szyję, że spostrzeże znak na niej i pozna mnie jako swego zbawcę.

Ludwik XI nie oszczędzał ani najbliższych swych krewnych, ani najmożniejszych hołdowników, aby tylko dopiąć celu swego i samowładnie nad całą zapanować Francją. Podobnym był do pajaka, który nie prędzej z uwięzionej swej ofiary krew wysysa i ją zabija, póki jej niezliczonemi niemi misternej swej siatki nie skrepuje i do bezwładności nie doprowadzi. Taką ofiarą pomiędzy innymi był książę d'Alençon, który również nie chciał się upokorzyć przed wolą Ludwika XI, lecz złączył się z jego przeciwnikami. Od roku więzień króla, zamknięty w żelaznej klatce, przez dziewięć miesięcy za nim wożony, na koniec na śmierć skazany, umarł r. 1474.

W niedzielę dnia 8 sierpnia roku 1473 wszedł Hugo do miasta Alençon i w wielkim natłoku ludu zbliżył się do zamku książęcego, w którym Ludwik XI odpoczywał, a właśnie opuścić go zamierzał.

Wkrótce wyszedł król z niego i dawał jeszcze niektóre rozkazy swej świcie, stojąc przed bramą, nim wsiadł na konia, aby odjechać.

W tej chwili przeciskał się Hugo przez tłumy sług i dworzan, otaczających króla, jużto śledząc wzrokiem pożądanego wuja Coittier, jużto upatrując okropnego djabła Olivier.

Pchnięty ciżbą wpadł na namaszczonego osobę monarchy tak gwałtownie, że tenże cofnął się o krok cały. Nim zdołano pochwycić winnego, karze śmierci w takim razie podlegającego, okropniejszy jeszcze wypadek podwoił powszechnie zamieszanie.

Z dość znacznej wysokości świsnęła w powietrzu kamienna masa tuż nad królem, a spadając na ziemię, ubiór jego zaszarpnąwszy, okryła go pyłem wapna i kurzawy.

Monarcha uniknąwszy szczęśliwie tak widocznego niebezpieczeństwa, które życiu jego zagroziło wśród krzyku ludu i natłoku dworzan, rzucił się na kolana, dziękując Bogu głosem wielkim za cudowne wybawienie swoje od śmierci.

Podniósł Ludwik XI bryłę kamienną, która jakimś gzymsem się być zdawała, ślubował odbyć pielgrzymkę na górę św. Michała i tam ją zanieść. Późem dopiero kazał sobie opowiedzieć bliższe szczegóły tego zdarzenia, które rozmyślną chęć królobójstwa zdradzało.

Schwytany i badany Hugo Michelet tak mówił:

— Spojrzałem do góry na zamek i widziałem wysoko nad bramą okno, z którego mężczyzna i kobieta wyglądali. Spostrzegłem zarazem, że gzymś od okna, na którym patrząca para się opierała, umykał i że człowiek z kobietą na próżno starali się go powstrzymać; widziałem że gdy już gzymś leciał ku ziemi, oni z okna uciekli. Gdybym był chciał krzykiem króla o niebezpieczeństwie, jakie mu groziło, ostrzedz, toby było za późno; dla tego rzuciłem się ku jego świętej osobie, abym sobą mógł króla od pewnej śmierci zasłonić.

— Słusznieś sobie postąpił — rzekł król — możesz za to liczyć na naszą wdzięczność. Lecz mów, kim jesteś i po coś tu przybył? Ha! jeśli się nie mylę, to widzę na twojej szyi owe dwie soczewki, po których podług przepowiedni lekarza mego Coittier, poznać miałem zbawcę mego. Jesteś może w rzeczy samej ten sam, którego Coittier z rąk Tristana przed kilku miesiącami uwolnił? Czy tak jest? O Coittier, jaka szkoda, że tu nie jesteś przytomnym!... Jakiż

tryumf odniosłaby cudowna twoja nauka. Ale, opowiedz nam chłopcze, jakim sposobem aż tu dotąd przyszedłeś?

Hugo Michelet był tak mądrym, że uwiadomił tylko króla o gwałcie popełnionym na nim, tudzież o uwięzieniu swoim w zamku Loches, jako też o swej ztamtąd ucieczce.

Król zmarszczył czoło, wołając swego ulubieńca, pana Olivier. Gdy tenże wystąpił z koła dworzan, rzekł król ostro do niego:

— He, Olivier! Czyż to dla tego mianowałem cię kapitanem w zamku Loches, ażebyś tam spokojnych chłopców, uczących się piec paszteciki i naznaczonych soczewkami, do niego pakował? Cóż powiesz na twoje usprawiedliwienie?

— Przebacz, najjaśniejszy panie! — odpowiedział pokornie Olivier — uznaję moją winę. Sądziłem, że dobrze zrobię, gdy temu chłopcu dam za swawolę, jakiej się dopuścił, dobrą naukę, z której, spodziewam się, korzystać nie omieszka. Zresztą ośmielałem się rościć choć w małej części prawo do zasługi tego chłopca w uratowaniu waszej królewskiej mości.

— Ty, Olivier! gadasz w gorączce, czy co? — przerwał mówcy Ludwik XI z wielkiem zadziwieniem.

— Tak jest, najjaśniejszy panie! — odrzekł już zuchwalej Olivier. — Byłby ten chłopiec spokojnie sobie w Paryżu tłukł i przesiewał cukier, smarował papier do placków, albo obierał migdały, a tak stał się aniołem opiekuńczym waszej królewskiej mości, że zapakowałem go do zamku Loches, z kąd miał sposobność uwolnić się i przyjść tutaj.

Śmiał się król z bezwstydnego ulubieńca, który się tak dowcipnie bronił.

— Twoje usprawiedliwienie — rzekł Ludwik XI — trąci faryzeuszostwem, ale ci tą razą jeszcze prze-

baczę. Lecz — tu głos króla stał się piorunującym — ktoby śmiał odtąd temu chłopcu najmniejszą wyrządzić krzywdę, będzie miał ze mną, królem, do czynienia. Niechaj to sobie każdy pamięta. Ty, Olivier, tam go w zdrowiu i bezpieczeństwie dostawisz, z kądem go wzięłeś. Wytłumaczysz przed pocziwym Escabeau długą jego nieobecność i winę tę na siebie weźmiesz. Zresztą, niezadługo wynagrodzę zbawcę mego życia podług zasług i w stósowny sposób.

W tym momencie przyprowadzono przed króla sprawców przestachu, jakiego wszystkich nabawili, będąc powodem urwania się gzymsu. Był to paż i pokojówka. Rzucili oni się do nóg królewskich i załamując ręce, świadczyli się Bogiem, jako niewinnie przyczynili się do tak okropnego wypadku i jeżeli z okna uciekli, to żeby nie byli świadkami jakiego wielkiego nieszczęścia.

Ludwik XI lubił tylko wielkie na najszlachetniejszego zwierza polowanie, jak lew, a wzgardzał nic nie znaczącym drobiazgiem. Przebaczył więc pażowi i pokojówce pod tym warunkiem, że się ich niewinność wykaże, o której później rzeczywiście się przekonano.

Chytry Olivier bardzo pochlebiał w podróży do Paryża Hugonowi, aby tenże gwałtu na nim popełnionego zapomniał. To też Hugon, czyli Jasmin, lubo miał chęć wrócenia do matki, milczał i był spokojnym. Escabeau i żona jego, przyjęli z wielką radością swego ucznia. Odtąd, prócz tęsknoty za matką i siostrą, nic nie zamąciło spokoju Jasmina. Jakób Coittier, czuł się niesłychanie uszczęśliwionym, że proroctwo jego, wymyślane jedynie do uratowania od śmierci siostrzeńca, tak cudownie się spełniło, przez co wpływ jego na umysł zabobonnego Ludwika XI, doszedł do najwyższej potęgi.

W kwietniu r. 1474, właśnie rok po przybyciu

Jasmina do Paryża, wszystkie kobiet ręce, wprawne w użyciu igły, w ciągłym, dzień i noc były ruchu. I u pani Escabeau dwie szyły szwaczki dwa mundury z czerwonej wełnianej materyi. Musieli po kolei cukiernik i uczeń jego przymierzać tych ubiorów. Łamał sobie napróżno Jasmin głowę, do jakiego one celu służyć miały. Skoro tylko ukończone zostały, przszyto jeszcze na lewym ich boku krzyż biały, a Escabeau przyniósł dwie włócznie, z których najmocniej zardzewiałą oddał Hugonowi czyli Jasminowi.

— Wychędóż ją czysto, żebyś się mógł w niej przejrzeć — mówił do chłopca cukiernik. — Król bowiem nakazał na dnia 16 kwietnia, to jest jutro, powszechną mustrę wszystkim prawdziwym mieszkańcom Paryża. Jest to jego życzeniem, abyśmy wszyscy jednakowo ubrani wystąpili. dla tego nie żałowaliśmy kosztów na ten mundur. Kiedyśmy przed siedmiu laty taką odbywali mustrę, ubrał się każdy jak mógł, bo wtedy szło tylko o to, ażeby nieprzyjaciół króla nastraszyć, ukazując im gotowe do bitwy wojsko, złożone jedynie z nas Paryżan. Wtenczas, to było 22 października r. 1467, byłem w konnicy paryskiej, która 30 000 jeźdźców liczyła i zaległa jak szarańcza jaka ziemię między przedmieściem św. Antoniego i wioską Conflans. Od tego czasu ludność Paryża znacznie się pomnożyła, król będzie miał daleko liczniejsze wojsko niż wówczas. Jutro, to znowu o to chodzi, ażeby posłów don Juana Aragonii, nauczyć uszanowania, jakie winni naszemu królowi, więc musimy przybrać marsową postawę, żeby ich nabawić troszeczkę strachem.

W rzeczy samej wyszło nazajutrz najmniej 100 tysięcy czerwono ubranych Paryżan przy odgłosie bębnow i trąb z rogów i uszykowali się w porządku wojennym od strony Charenton przed bramą św. Antoniego. Nierówność broni liczba zastąpiła uzbrojo-

nych, których szeregi król w towarzystwie posłów aragońskich konno przebiegał.

Spostrzegł Ludwik XI-ty sławnego pasztetnika Escabeau i ucznia jego; przypomniał sobie, że ostatniemu jeszcze obiecaną był winien nagrodę.

Dnia zaraz następnego przywołał monarcha swego lekarza Coittier i dał mu zlecenie wręczenia Jasmynowi worka napelnionego złotem i pismo własnoręczne, w którym pozwalał Hugonowi Michelet zanieść jakąkolwiek prośbę przed tron swój. Chłopiec prosił wuja, aby złoto odesłał matce, a pismo, póki nie nadarzy się sposobność użycia go, zachował u siebie.

Coittier z wielkiem zadowoleniem wypełnił życzenie swego siostrzeńca.

ROZDZIAŁ VIII.

Oblężenie i śmierć.

Zawisł już miecz rozgniewanego króla nad głową księcia Nemours za ciągłe jego zdrady.

W miesiącu marcu 1476 r. powietrze w Carlat drżało od huku dział, kłęby dymu ómiły zamek, który z miasteczkiem bronił się przeciw wojsku królewskiemu, którem dowodził Bourbon-Beaujeu.

Ciężkie kule rozbijały mury zamku. Inne tłukły okna i zrywały dach. Dym i ogień gęsty buchał w kilku miejscach, gdzie zapalono domy i część broniących odrywał do ich ratowania. Ze wszech stron, za koszami, murem, wałami, z pospiechem usypanemi, zaczajeni żołnierze strzelali na oblegających, których liczba o wiele przewyższała liczbę broniących się w miasteczku i zamku Carlat.

Wśród strzałów, krzyków i chrzęstu broni grzmiał głos księcia Nemours, zachęcający swoich do mężnego oporu i obiecujący im sowite za to wynagrodzenie.

O ile było gwaru przed zamkiem, o tyle posępnej ciszy w jednej, w najodleglejszym zakątku jego znajdującej się sklepionej komnacie. Tu na prędce rozłożono łoże, a na niem blada i drżąca Jolanda, małżonka księcia. Obok niej, nowonarodzone dziecko w powiciu, ssające swój paluszek, bo pierś matki nie mogła go już pożywić. Helena Isouard i Hektor gorzko płacząc i za każdym hukiem dział ręce załamując, klęczeli koło łóżka matki. Z mnóstwa służebnic ani jedna nie pozostała przy księżnej. Pod różnemi pozorami poszukały sobie zawczasu bezpiecznego schronienia. Blady, zamglony, umierający wzrok księżnej, błakał się po dzieciach, a najdłużej zatrzymywał się na niemowlęciu. Zebrała наконец księżna wszystkie swe siły i słabym, przerywanym głosem w te się odezwała słowa:

— Umieram, przestrach mnie zabija, a wy jeszcze, drogie moje dzieci, rozdzieracie me serce waszemi jękami. Umierałabym chętnie, gdybym was sierotami nie zostawiała... tak, sierotami. Widzę, widzę przed sobą głowę krwią zbroszoną; o Boże!... ta głowa jest ojca waszego głową! Gdy ta spadnie, któż się wtedy zlituje nad tem biednem niemowlątkiem. Myśl ta jest kroplą najgorszą, zaprawna goryczą w kielichu cierpień, który mi los nieubłagany do wychylenia podaje. Dzieci! jeżeli chcecie osłodzić waszej matce godzinę ostatnią jej życia, przyrzeczcie mi w tej uroczystej chwili, że brata waszego najmłodszego tak kochać będziecie jak mnie, o jego starać się będziecie utrzymanie, a nawet wasze dobro jemu poświęćcie. Ślubujcie przed Bogiem wszystkowiedzącym i widzącym, że dopełnicie tego, o co was umierająca matka błaga.

Trzy ręce drżące podniosły się do góry i wzruszającym tonem zabrzmiały braterskie głosy przysięgę, której głuchy wystrzał armatni „Amen“ odpowiedział.

— Dzięki wam, drogie dziatki moje — szepnęła księżna — mężniej teraz mej śmierci oczekiwać będę. Ach, jak jesteśmy od wszystkich opuszczeni!... żeby też jaka litościwa dusza to dziecko wzięła w swoją opiekę!...

Księżnę siły opuściły, umilkła. Wierne tylko kochające oko macierzyńskie troskliwie spoglądało na Helenę, starającą się płacz małego braciszka utulić.

Nagle otworzyły się drzwi sklepienia i weszła do niego pani Michelet z córką swoją Amelią.

— Tu was nareszcie znajduję, miłościwa księżno — mówiła z pośpiechem — cały zamek obeszłam, szukając was i dzieci. Mówcie księżno, czem wam się przysłużyć mogę? Boże litościwy, w jakim to miejscu znajdujecie się w swej chorobie?

Promień radości rozjaśnił blade oblicze księżnej, gdy wdowę ujrzała.

— Przychodzisz do mnie — mówiła słabym głosem — podczas największej mej niedoli, witam cię więc jako anioła pocieszyciela. Mnie już anioł śmierci nawiedził, zostawię wkrótce czworo nieletnich dzieci sierotami, bez żadnej opieki; wyrozumiesz matki cierpienia, jakimi ją ta myśl nabawia, sama matką będąc.

— Ależ nie bez opieki, nie sierotami — rzekła wzruszona pani Michelet, biorąc dziecię w powiciu na ręce. — Jeszcze żyje Bóg wszechmocny, jeszcze żyje wasz małżonek. I wy księżno odzyskacie jeszcze zdrowie i doczekacie się wiele pociechy z dziećek waszych. Walka długo już potrwać nie może, boć książę małżonek wasz już teraz musi być przekonany, że opór jego przeciw królowi jest bezskuteczny.

— Precz, krwawa głowo! — zawołała księżna, jakby w szaleństwie, ręką coś od siebie odgarniając. Po chwili uspokoiwszy się, rzekła do wdowy: — Dobra Michelet, ja się nie mylę. Czuję aż nadto dobrze,

że bieg krwi w żyłach moich staje się leniwszy, bicie serca coraz słabsze, wzrok mój mglisty. Powiedz, czy mogę moje dzieci, a szczególnie mego nowonarodzonego syna, polecić twej pieczy?

— Wszystkie będą moimi dziećmi i jako takie miłością moją otoczone — płacząc, odpowiedziała

— Złe dobrem odpłacasz! — rzekła księżna. — Dwóch synów straciłaś przez winę księcia małżonka mego, pomimo to chcesz się zlitować nad jego dziećmi.

Tu pani Michelet nachyliła się do ucha księżnej.

— Nie dwóch, jednego tylko — szepnęła. — Mój Hugo żyje jeszcze i zdrow jest. A co się tyczy księcia i dzieci waszych, miłościwa księżno, spodziewam się, że w razie gwałtownej potrzeby znajdę takiego, który się za nimi wstawi do króla. Ulubiony lekarz króla jest bowiem rodzonym bratem moim i rzadko kiedy czego mi odmawia. Powierzam to wam księżno jako największą tajemnicę.

— Wdzięczna ci jestem bardzo — odpowiedziała księżna. — Pocieszyłaś mnie i zaspokoiliś. Umieram z zupełnem poddaniem się woli Bożej. — Zastanowiła się, a po chwili, wodząc naokoło obłąkanym wzrokiem, rzekła:

— Znowu mi się ukazujesz?... Ucałujcie mnie dzieci na ostatnie pożegnanie, błogosławie was.

Całowały dzieci umierającą matkę, zanosząc się od rzewnego płaczu.

— Teraz módlcie się, módlcie za waszego ojca za mnie, za waszego małego brata i za was samych.

Rzuciła się pani Michelet z dziećmi na kolana, a najczystsza i najgorętsza modlitwa, jaką kiedykolwiek usta ludzkie wymówiły, zaniesioną została przed tron Najwyższego. Umierająca złożyła także białe alabastrowe ręce i błaganie swoje dołączyła do prośb swych dzieci. Coraz bliżej i bliżej dawały się sły-

szeć wystrzały, lecz już nie robiły na modlących się żadnego wrażenia.

Nakoniec księżna zupełnie zmienionym zawołała głosem:

— Ach, droga Izabello, przyszedł po mnie, wyciągasz ku mnie ramiona. Idę... idę...

Ostatnie „idę“ przestraczem przejęło dzieci i panią Michelet z córką. Ostatnie to było wysilenie. Księżnie zadrgnęły usta i nastąpiło milczenie śmierci. Skończyły się księżnej cierpienia, duch jej uwolniony z więzów ziemskich, uniósł się do nieba.

Nikt nie śmiał tego grobowego milczenia skargą lub płaczem przerywać. Nawet dziecię w powiciu spokojnie sobie leżało. Każdy czuł tę niepojętą siłę, która człowieka tajemniczo z pielgrzymki ziemskiej odwołuje, jak tajemniczo go do niej wprowadza.

Dzieci, świętą bojaźnią przejęte, ustom milczenie nakazały, lecz żyły obfitym strumieniem płynęły po zbłądłych ich licach.

Ta cisza grobowa przerwana została nagłym drzwiami rozwarciem. Wpadł do sklepienia książę Jakób d'Armagnac, twarz mając dymem i prochem okopconą, suknie w nieładzie i krwią zbroczone.

— Jolando! — zawołał w najokropniejszym poruszeniu. — Już po wszystkim! Ludzie moi stchórzyli, już mi posłuszeństwa odmówili, walczyć dłużej nie chcą, białą chorągiew wywiesili, grozą wydaniem mię wojskom króla, jeżeli dobrowolnie się nie poddam. Co mam czynić Jolando? Mów!

— Nasza matka umarła! umarła! — zawołały dzieci głosem rozdzierającym.

Nemours stanął jak wryty. Kilka sekund popatrzył na blade, zimne zwłoki swej małżonki; poczem wybiegł z sklepienia i niezwłocznie poddał się naczelnemu dowódcy wojsk królewskich, pod wa-

runkiem, że mu życie zostanie zachowane i dozwolone uniewinnienie się.

Ludwik XI znowu jednego ze swych możnych i zaciętych przeciwników zwyciężył i zabrał. Długo okazywana cierpliwość króla, pochodząca już to z bojaźni, już z innych względów, ustąpiła wrodzonej jego srogości, której cugle teraz rozpuścił.

Wcielił wszystkie posiadłości księcia do swojej korony. Księcia Nemours, jak i innych dostojnych więźniów, osadził w żelaznej klatce, w której nieszczęśliwy książę przesiedział pięć kwartałów, aż do swego na śmierć skazania.

Pani Michelet wykonała dane przyrzeczenie konającej księżnie, wzięła jej dzieci do siebie i jak własne pielęgnowała. Najpierw zajęła się pochowaniem zwłok księżny. Użyła na ten cel złota przysłanego jej od syna. Ciało księżny Jolandy złożyć kazała w dębową trumnę, którą w grobowcu familijnym umieściła.

Pogrzeb tak dostojnej, blizkiej nawet krewnej króla, odbył się bez żadnego przepychu. Orszak pogrzebowy składał się tylko z tragarzy, jednego kapłana, dzieci zmarłej pani Michelet i jej córki.

Nim król mianował rządcę zamku Carlat, pani Michelet wyprowadziła się do miasteczka, gdzie w spokojnem ustroniu poświęcała się wychowaniu dzieci książęcych; święcie pełniła obowiązki, jakich się podjęła, a Amelia wiernie jej pomagała.

Uwięzienie księcia Nemours usunęło przeszkodę, dla której Hugo Michelet nie mógł odwiedzić matki; korzystał z tej smutnej sposobności i za pozwoleniem cukiernika i wuja swego wybrał się do matki. Trudno opisać radość, jakiej doznała biedna wdowa z oglądania syna.

Dzieci książęce przeszedłszy nagle z bogactw do biedy, z wysokiego stanu do najniższego, nie czuły się

nieszczęśliwemi, bo je ciągle otaczała serdeczna i czuła opieka cnotliwej pani Michelet. Gdyby im Bóg był zachował matkę, nie uważałyby były tej nagłej zmiany losu. O ojcu żadnej nie mogły powziąć wiadomości. Całą więc miłość swoją okazywały najmłodszemu swemu bratu, którego tak im matka polecała.

W skromnem domowym zaciszu wdowy pędziły dzieci spokojne życie przez pięć kwartałów. Nikt się o nie nie odezwał z krewnych lub przyjaciół. Wdowa, dzięki złotu, jakim ją syn obdarzył, zawsze jeszcze miała dostatkem mąki na chleb i oleju w dzbanku.

W końcu lipca r. 1477 bawiły się dzieci swym braciszkiem, który zaczął chodzić i mówić, gdy wtem wszedł do mieszkania wdowy mały, niepozorny, odrażające mający rysy twarzy człowiek. Jemu towarzyszył, wielkie mu okazując uszanowanie, nowy rządzca zamku Carlat.

Okropne wrażenie zrobiły te niespodziewane odwiedziny na spokojnych mieszkańcach małego domku.

— Otóż są — rzekł rządzca, wskazując na dzieci.

— Wszystkie pięć? — zapytał ów niemiły człowiek, przenikającym wzrokiem mierząc wystraszone dzieci.

— Nie, tylko te trzy lub cztery — odpowiedział rządzca. — Zapytajmy tej kobiety.

— Któż to są dzieci Jakóba d'Armagnac, niegdyś księcia Nemours? — zapytał się Olivier djabeł, obracając się do wdowy.

— Ja jestem — rzekła księżniczka poważnie — Helena d'Armagnac, a to moi trzej bracia.

— Jakto i to małe dziecko? — zapytał zgryźliwie Olivier. — Do djabła, nie bardzo to przyjemna musi być podróż z takim krzykaczem.

— Cóżto, wielce miłościwy panie? — zawołała

przerażona pani Michelet. — O jakiej to podróży z tem dzieckiem mówicie?

— Król nakazał mi dzieci Jakóba d'Armagnac dostawić do Paryża, moja kobieto — rzekł Olivier oziębło.

— Do Paryża? ztąd? — zawołały dzieci z przestachem, biegnąc przytulić się do pani Michelet.

— Tak jest, do Paryża! — rzekł Olivier złośliwie. — Tam jest wasz ojciec, który sobie życzy widzieć swoje dzieci. Ha! nie czujecie wy żadnej potrzeby, po długiem niewidzeniu, uściskać ojca? Jakżeby go to zabolalo, gdyby o tem wiedział.

— Jeżeli to jest wolą króla i życzeniem ojca naszego — odpowiedziała smutnie Helena — nie możemy się opierać.

— A więc spieszcie się, jeszcze tej godziny wyjeżdżamy — rzekł Olivier.

— Ależ ten mały nie może tak długiej odbywać podróży — mówiła ze drżeniem pani Michelet. — On jest bardzo słaby i chorowity, do tego okropnie uparty i zbalamucony — Kłamała wdowa. — Dzień i noc krzyczy i tysiącby wam w drodze narobił nieprzyjemności, coby podróż utrudzało i opóźniało.

Dzieci zdziwione potrząsały głowami, patrząc na wdowę, która tak okropnie ulubione swe dziecię obgadywała.

— Nie potrzebujesz mi tego wszystkiego bając, moja kobieto. Wiem to tak dobrze, jak i ty — rzekł marszcząc czoło Olivier. — Hm, hm, dziecko to nie zna swego ojca i jemu jest nieznane. Zamiarom króla wcale nie odpowiednie. Ja myślę, że król ani wie, ile d'Armagnac ma dzieci. W najgorszym razie można po niego przysłać. Niech on tu sobie na moją odpowiedzialność zostanie.

Wyrok ten, drżącą z bojaźni panią Michelet, aby

jej przynajmniej tego dziecięcia, do którego się czule przywiązała, nie pozbawiono, radością napełnił.

Helena, Isouard i Hektor żegnały się z troskliwą swoją opiekunką, zalewając się łzami. Trudniej im było rozłączyć się z małym braciszkiem.

— Do prędkiego widzenia! — wołały odjeżdżające dzieci do wdowy.

Nie spostrzegły w swym żalu, jaki zdradziecki uśmiech oszpecił na te słowa już i tak brzydką twarz diabła Oliviera.

ROZDZIAŁ IX.

Stracenie i uwięzienie.

Było to w sierpniu roku 1477, kiedy bardzo rano mnóstwo ludzi zbiegło się w jeden punkt Paryża. Sprowadziło ich tam smutne widowisko krwawego tracenia, nie należącego za czasów Ludwika XI do osobliwości. Ścięcie głowy zwyczajnego zbrojcy lub innego jakiego winowajcy, wzbudza już zwykle ciekawość ludu, jakże nie miało działać na jego umysł tracenie najdosłojniejszych osób w państwie, jak na przykład: wielkiego hetmana polnego Francyi (grand connétable) i szwagra królewskiego; hrabiego de St. Paul; potem Karóla de Melun, drugiego syna hrabiego Alberta; znakomitych panów d'Esternay, d'Ardinges, de Dariole i tylu innych.

Po krótkiem oczekiwaniu spostrzegł lud delikwenta w towarzystwie kapłana, wolno na schody rusztowania wstępującego, gdzie na górze kat z pomocnikami oczekiwał swej ofiary. Tuż pod i przy rusztowaniu postawiono troje dzieci, dziewczynkę i dwóch chłopców, na pół umarłych; dla tego prowadzili ich oprawcy gdzie im się podobało.

Hugo, znowu teraz Jasmin, znajdujący się także w tłumie gapiącego się pospólstwa, poznał z wiel-

kiem swoim przerażeniem w bladym delikwencie kiedyś tak możnego i postrach siejącego księcia Nemours; w dziewczynce i dwóch chłopczykach, przy rusztowaniu stojących, wychowanców matki swojej: księżniczkę Helenę, księcia Isouard i młodszego ich brata Hektora.

Skoro delikwent, któremu kapłan pociechy religijnej udzielał, dzieci swoje poznał, zwrócił wzrok pełen żalu ku niebu i jakby błogosławiąc rękę swą po za poręcz rusztowania wyciągnął. Konwulsyjne szlochanie i jęk głuchy biednych dzieci doleciał do ojca i był ich odpowiedzią.

Wzruszony Jasmin napróżno szukał oczyma wuja swego i króla, którego jeden wyraz mógł skazanego uwolnić od kary śmierci. Coby był dał za to, gdyby w tej chwili miał przy sobie pismo królewskie, pozwalające mu zanieść jaką prośbę do tronu; byłby je użył na wybawienie księcia Nemours od śmierci.

Jakób d'Armagnac, odmówiwszy klęcząco modlitwę, powstał zwolna, usiadł na stołek okropny delikwentów, gdzie mu kat oczy zawiązał i ciało księcia do mocnej poręczy stołka przykrępował. Poczem mignęła ostra klinga miecza w powietrzu, przeszła je jak błyskawica i — odcięła z właściwym sobie szelestem głowę od tułowu. Potoczyła się głowa po schodach rusztowania, a dwie ciepłe strugi krwi, tryskające z pulsowych żył szyi, obryzgały dzieci straconego.

Gdy głowa ojcowska spadła, trzy przeraźliwe wykrzyki dziecinnych głosów dały się słyszeć, poczem dzieci stały bez ruchu i myśli. Boleść okropna odjęła im zmysły. Nie czuły, że krwią ojca ich ciała i suknie skropione zostały.

Nie wymówiły ani słowa, gdy je odprowadzono do przygotowanego pojazdu i wsadzono do niego, który z tamtąd spiesznie odjechał.

Kiedy potem pojazd przed obszernem, smutnem zabudowaniem jakiegoś kobiecego klasztoru się zatrzymał i księżniczce oświadczone, że to jest miejsce na dalszy jej pobyt przeznaczone, rozłączyły się dzieci bez najmniejszej skargi, bez jednego słowa pożegnania, wzrok tylko bolesny na siebie rzuciły, a ten wier nie tłumaczył głęboką ranę ich duszy.

Właśnie za czasów Ludwika XI stało okropne więzienie, w którem tyle osób dla siebie grób za życia znalazło — Bastylia w Paryżu, Tam to dążył pojazd z dwoma księżętami, po umieszczeniu ich siostry w klasztorze.

Skołatani książęta nie zważali na okropne mury, na głębokie fosy, na most zwodzony, na strzeżone bramy, na pusty dziedziniec Bastylii, do którego wtoczył się pojazd. Jak lalki z drzewa pozwalali ze sobą robić co tylko chciano; zamienić na inne krwią splamione suknie, obmyć się, wodzić po schodach i długich kurytarzach i wprowadzić na koniec do celi, gdzie stały gotowe na ich przyjęcie dwie żelazne klatki.

Jak jest przemysłny człowiek w męczarni i niszczeniu swego bliźniego, naucza nas dawniejsza i nowsza historia, począwszy od trojańskiego konia aż do dzisiejszych wymysłów palnej broni. Spodziewaćby się należało, żeby owa wyszukana srogość, z jaką Ludwik XI męczył niewinne dzieci swego nieprzyjaciela, a którą sobie trwała pamiątkę swej hańby zgotowa, nie powtarzała się przynajmniej pomiędzy wyznawcami Chrystusa. Klatki dla młodych książąt przeznaczone z żelaznych prętów w formie tak zwanych więtierzy, tak, że dolna część, podobna do lejka, miała spód kończasty, zamiast równoległy. Niepodobnem było w tak straszliwym więzieniu ani stać, ani siedzieć, ani leżeć.

Na taką niesłychaną, tylko przez ziemskiego

szatana wymyśloną torturę, skazał król chrześcijański dwoje w wygodach wychowanych dzieci, których jedyną było winą, że byli synami wiarołomnego hołdownika. Wieczna hańba wynalazcy takiego narzędzia, przeznaczonego na męki bliźnich. Równaż hańba tym, co z bojaźni lub zysku byli gotowymi na sporządzenie takowego. I hańba tym, którzy serca i sumienia się zapierając, nogli takie niewinne ofiary królewskiej zemsty w owe klatki zapakować, na ich niesłychane udręczenia patrzeć i żadnych nie przedsięwziąć środków, aby ich z takowych uwolnić.

Jakaż sprzeczność. Z jednej strony biedna wdowa, straciwszy z winy księcia d'Armagnac najstarszego syna i drugiego już opłakawszy, z radością poświęca małe swe mienie, aby czworo pozostałych swego pana dzieci biedzie lub śmierci wyrzeć; z drugiej, król wszechwładny, ojciec ludu, odebrał wszystko dzieciom swego nieprzyjaciela, przymusił je do patrzenia na ścięcie głowy ojca i na koniec skazał je na najokropniejsze męczarnie, naprzeciw którym gwałtowną, prędką śmierć dobrodziejstwem nazwaćby można. Jak dalece, o człowiecze, stworzony na obraz i podobieństwo Boga przedwiecznego, możesz się obłąkać.

Obadwaj mali książęta, z których Isouard liczył obecnie lat jedenaście, a Hektor dziewięć, wrzuceni prawie martwi do straszliwych klatek, nie spotrzegli od razu okropnej ich budowy. Umysł ich skolatany widokiem stracenia ojca, nie był w stanie pojąć, co się z nimi stało. Po kilku godzinach ocknęli się z tego odrętwienia; młodszy książę naprzód rozplakał się rzewnie, a płacz ten wzruszył serce jego brata.

— Jakże ci jest, biedny Hektorze? — zapytał Isouard za kratami swej klatki.

— Ah, bracie — odpowiedział ze łkaniem Hektor — nasz ojciec!... Helena!... ach!... tak mi prawa noga ścierpła. Nie mogę się w tej szkaradnej dziurze

ani wyprostować, na jednej tylko mogę stać nodze i to jak jeszcze. Ani usiąść, ani się położyć. Już mnie wszystkie kości bołą.

— I mnie nie lepiej, kochany Hektorze — odpowiedział Isouard, starając się brata pocieszyć — ale spodziewam się, że nie będziemy siedzieć długo w tych klatkach. Może nam dadzą przynajmniej jaką derkę, albo poduszeczkę, na której będziemy mogli spocząć jako tako. Stawaj raz na prawej, drugi raz na lewej nodze i zmieniaj je częściej.

— Jużem to robił — odrzekł Hektor — ale to nic nie pomoże. Poco nas do tych klatek zamknęli? Myśmy przecież nic królowi nie zrobili, jeszcze nas pani Michelet nauczyła modlić się za niego.

— I teraz powinniśmy się modlić za niego — odpowiedział Isouard — jakkolwiek to nam przykro będzie. Bo Zbawiciel napomina nas: „Módlcie się za tych, co was obrażają albo prześladują“.

— Nie wiem czy potrafię się zdobyć na to. Bo po pierwsze, król kazał naszemu ojcu, ścinać głowę; po drugie, rozłączył nas z Heleną; po trzecie wsadzić nas kazał do klatek, w których porządnie nawet stać nie można.

— Dobrze się zrobiło, że tu Heleny nie przywieziono. I to szczęście, że nasze klatki stoją blisko siebie, bo nużby były każda w innej celi umieszczona, wystaw sobie, mój Hektorze, jakby to okropnie dla nas było.

— Ach, z takim szczęściem! — rzekł Hektor, zanosząc się od płaczu — o jakże my to dobrze mieli u pani Michelet.

— To prawda, mój Hektorze! wyrzucam sobie, że nie dosyć dziękowałem Bogu za szczęście, któregośmy u niej doznawali.

— Ja długo od bólu nie wytrzymam w tej klatce. Już ciemno, a nikt się jakoś nie zjawia z po-

duszką; jakże tu noc całą tak znieść będzie można?
— wyrzekał biedny Hektor.

Isouard płakał na głos, słysząc narzekania swego brata.

— Módl się, drogi Hektorze! módl się, wezwij Boga na pomoc! — wołał do niego.

I sam zaczął głośno wieczornę odmawiać modlitwy. Modlił się za króla — z przywyknienia. I Hektor prosił Boga o uwolnienie ojca z więzienia — i dziękował Bogu za doznane radości i odebrane dobrodziejstwa — z przywyknienia. Coraz słabiej i niezrozumialej bracia się modlili — i usnęli. Usnęli pomimo okropnego położenia, pomimo twardych, ostrych prętów żelaznych klatek, pomimo okropnych dnia tego przecierpianych nieszczęść. Kto wie, spali może smaczniej i mocniej, niż okrutny sprawca ich niedoli na miękkich puchach.

ROZDZIAŁ X.

M ę c z a r n i e.

Jeszcze światło dzienne nie rozjaśniło celi więziennej dwóch braci, a już się obudzili.

Stęknął głośno Hektor, gdy się poruszył i zapytał po cichu:

— Isouard, śpisz ty?

— Nie! — odpowiedział tenże — już chwilę, jakem się przebudził.

— Wszystkie mnie kości okropnie bolą — narzekał Hektor — boki, nogi, ramiona, głowa.

— I mnie nie lepiej — odpowiedział Isouard — i wiele bodajnie czasu upłynie, nim się do tych klatek przyzwyczaimy.

— Jak to, czy sądzisz, że tu długo jeszcze w nich się męczyć będziemy? — pytał przestraszony Hektor.

— Trzeba się przygotować na wszystko, co tylko

najgorszego być może — rzekł z namysłem Isouard.
— Jeżeli się mylę, tem lepiej.

— Ach, cóż się to ze mną stanie? — mówił Hektor.

— Uzbrój się w cierpliwość, kochany Hektorze. Wspomnij sobie na męki Pana naszego Jezusa, które dla nas znosił. Upadał On pod ciężarem krzyża; paliły Go w głowę kolce cierniowe; miał ręce i nogi przebite gwoździami i odmówiono Mu nawet wody, aby mógł ugasić pragnienie. A my możemy poruszać się, mamy chleb i wodę, odzież, nie jesteśmy obnażeni, nie wystawieni na palące promienie słońca, ani na burze i nie jesteśmy na krzyżu przybici.

— To wszystko prawda — odpowiedział Hektor — jednak ta myśl, że tu nietylko długie dni, lecz i długie lata przesiedzieć będziemy musieli, nabawia mnie już niewypowiedzianym strachem.

— Alboż to Święci nie męczyli się przez całe życie? i dobrowolnie nie odmawiali sobie najpotrzebniejszych potrzeb do życia? Św. Szymon przez trzydzieści dziewięć lat, dzień i noc, w lecie i w zimie, stał i znosił największe niewygody. Już to zapomniałeś, co mama nam opowiadała o męczennikach, którzy wesoło i odważnie za wiarę cierpieli?

— Nie zapomniałem; ale oni wszyscy byli dorośli mężowie, idący z własnej woli na śmierć męczeńską. Lecz czyż to można coś podobnego wymagać od takich dzieci jak my?

— Pomiedzy siedmiu braćmi, których okrutny król Antyoch zamordować kazał, były i małe chłopcy, a zniesli mężnie takie męki, do których nasze ani w porównanie iść nie mogą.

— Tak, to wszystko prawda, ale ja wątpię, żebym tu wytrzymać mógł długo.

Wniście dozórcy przerwało braterską rozmowę.

Milczący, ponury, zbliżył on się do klatek, zajrzał do nich, czy mają jeszcze chleb i wodę.

— Dzień dobry, miły człowieku! — zagadł do niego Isouard z uprzejmością. — Zapewne przychodzisz nas wypuścić z tych szkaradnych klatek?

Dozorca zmarszczył czoło i szorstkim tonem krótko odpowiedział:

— Nie!

— Nie? — pytał Isouard, kiedy właśnie Hektor jęknął z bólu. — Czy to naprawdę mówisz, miły człowieku? Czy nie wszedłeś też przypadkiem kiedyś do takiej klatki, żeby choć spróbować jak to jest źle być w niej zamkniętym?

Dozorca milczał, a Isouard tak dalej mówił:

— Ale przynajmniej zlituj się nad nami, daj nam choć jakie poduszki, albo wałki, albo słomy trochę, bo się zupełnie poranimy.

Namyślał się chwilę dozorca, poczem rzekł:

— No, na kilka minut was wypuszczę, a ja tymczasem wychędożę wasze klatki.

Już tak krótkie, małe ulżenie swych udręczeń przyjęli bracia z największą wdzięcznością. Obadwaj zaczęli się przeciągać, wyszedłszy z klatek; Isouard kilka razy przeszedł celę, namawiając brata, aby podobnież uczynił. Ten zaś usiadł na stołku i odrzekł:

— Nie mogę chodzić, mój kochany bracie! tak się czuję osłabiony i wszystkie mnie członki bołą, a najbardziej nogi.

— Dalej, teraz wchodźcie do waszych gniazd — zawołał dozorca, który się pospieszył z wychędożeniem klatek.

— O mój miły człowieku! Miej litości i cierpliwości troszeczkę! Ledwieśmy przecie z tych okropnych wyszli klatek, ach! a jak nam to się w nich nudzi! — odezwał się Isouard.

— Albo sądzicie, że nic innego nie mam do

pracy, tylko tu nad wami stać i gapić się na was, póki wam się nie przyśni wleźć napowrót do klatek? Oho, marsz, ruszajcie do nich i to bez ceremonii.

Zamilkli księżęta, weszli do klatek i znowu zostali w nich zamknięci.

O ile okrucieństwo człowieka tego pastwiło się nad dziećmi, o tyle Isouard miłości braterskiej okazywał w wynajdywaniu ulgi dla swego najmłodszego brata. Widok ten poruszył wreszcie zatwardziałego dozorcę. Stawał on się coraz przyjaźniejszy, mowniejszy, starał się przedłużać chwilę czyszczenia klatek. Czasem im przyniósł słodki i soczysty owoc; dał się uprosić наконец o wełnianą derę, którą po kolei bracia używali do podłożenia pod głowę, lub też do oparcia się na niej.

Loupin — tak nazywał się dozorca — nałożył chłopcom za największy obowiązek, za najmniejszym szelestem przy drzwiach, ukrywać derę co najprędzej pod swoją odzież.

— Sluchaj Coittier — rzekł dnia jednego Ludwik XI do swego lekarza — nie wiesz o jakim cyruliku, któryby umiał rwać zęby?

— Czy wasza królewska mość ma ból zębów? — zapytał zdziwiony lekarz. — Czy te zęby są wypróchniałe?

— Nie... — odrzekł monarcha — ale ja mam dwa młode lwy, chciałbym, żeby gryźć nie mogły. Na rogu ulicy Magdaleny widziałem wywieszony szyld takiego cyrulika. Jeżeli się nie mylę, to nazwisko jego jest Lazare. Może znasz tego powinowatego twego kunsztu?

— Wiem tylko tyle o nim, że jest najgorszym partaczem i że żałowałbym psa nawet, któremuby kły wyciągał.

— Ano, to właśnie trzeba mu podać sposobność, aby się wydoskonalił w swej sztuce. Powiesz mu

w mojem imieniu, ażeby się udał do komendanta bastylli dziś jeszcze; tam dalsze od niego odbierzy rozkazy,

To powiedziawszy, odwrócił się monarcha od zdziwionego lekarza.

Tego samego dnia otworzyły się drzwi celi książąt w niezwykłym czasie. Jak tylko bracia usłyszeli odsuwający się zamek, ukryli wełnianą derę i w wielkiem oczekiwaniu patrzeli na drzwi, aby ujrzeć niespodziewanych gości.

Człowiek olbrzymiego wzrost i atletycznej budowy ciała wszedł w towarzystwie dozórcy do celi. Wzdrygnął się, ujrawszy szczególne klatki i szczególniejszych jeszcze w nich ptaków. Loupin otworzył klatkę Isouarda i wyjść mu z niej kazał. Isouard był mu posłuszny, a nieznajomy rzekł do niego:

— Pokaż mi twoje zęby, moje dziecko!

Książę otworzył usta, a Lazare ujrzał dwa rzędy najpiękniejszych i najbielszych pereł.

— Usiądź na stołku i zachowaj się spokojnie — mówił powoli Lazare.

— A co to zamyślacie ze mną robić? — zapytał Isouard, bojaźnią przejęty na widok żelaznych obcęarów dziwnego kształtu, które olbrzym wyjął z kieszeni.

— Nic, tylko ci jeden ząb wyrwę. Pochlebiam sobie, że za jednym pociągiem doskonale mi się operacya uda, jeżeli mi nie przeszkodziś nagłym poruszeniem — mówił zwolna i łagodnie Lazare.

— Ale mnie żaden ząb nie boli.

— Wierzę temu — odpowiedział Lazare — jednakże musisz mi dać wyrwać jeden ząb, bo... taka wola króla.

— Króla? — rzekł Isouard blednąc i widocznie słabnąc. — Króla? — powtórzył znowu cicho, ciężko wzdychając.

— Króla — zapewniał Lazare głową kiwając.

— Teraz siadaj. Żebyś był nie gadał, jużby było po wszystkim.

Isouard usiadł na stołek. Lazare wziął między kolana swoje jego głowę, kazał mu usta otworzyć i zaczął mu zakładać na ząb obcęgi.

Jęczało nieszczęśliwe dziecko pod operacją niezręcznego dentysty. Jemu samemu duże krople strachu wystąpiły na czoło.

— O przestańcie! przestańcie! — błagał książę stłumionym głosem, mając krwi pełne usta.

Rzeczywiście wstrzymał się Lazare z dalszem dręczeniem nieszczęśliwego chłopca. Otarł sobie czoło i rzekł, aby pokryć swą niezgrabność:

— Niktby nie wierzył, że dziecięce zęby tak mocno siedzą. Jak żelazo siedzą. Ciekawym, jaki też będzie korzeń tego tu zęba. Naruszyłem go, to mogę powiedzieć na pewno. Jeszcze raz pociągnę, to go i wyrwę. No, mój chłopcze, otwórz mi usta.

Lazare znowu założył obcęgi, a Hektor oparł twarz o prety żelazne i w największej rozpacz szlochał, patrząc na męki ukochanego brata swego.

— Przecież! — zawołał Lazare, wyciągnawszy i podniósłszy do góry ząb z skrwawionym korzeniem. — Napij się teraz wody, a ja zabiorę się do twego brata.

— Do mego brata? — zapytał Isouard z śmiertelnym strachem — co chcesz z nim robić?

— Muszę mu dla króla także ząb wyrwać; taka wola najjaśniejszego pana.

Loupin otwierał klatkę Hektora.

Zalał się łzami Isouard, widząc brata swego wychodzącego z klatki, bladego, drżącego, chwiejącego się, nie ledwie omdlałego.

Posadzili go na stołku. Młodszy i delikatniejszy nie tak odważnie znosił bóle i nieszczęście. Nie będziemy już szczegółów tej drugiej operacji opisywali,

powiemy tylko, że obadwa wyrwane zęby Lazare starannie owinał w papier, schował z obcęgami do kieszeni i oddalił się z dozórca.

Nazajutrz stawił się Lazare o tym samym czasie w więzieniu książąt. Przestрах straszliwy ogarnął braci, gdy się dowiedzieli, że te odwiedziny nie pochodziły z troskliwości o ich zdrowie, lecz były one zrobione w celu powtórzenia wczorajszej operacji.

Kiedy go bracia błagali, aby nie był dla nich tak okrutnym i aby im oszczędził męk, odpowiedział:

— Taka jest wola króla!

Wyrwał każdemu po jednym zębem i wesoło się odezwał:

— Nie prawdaż, dziś już szło prędzej jak wczoraj? Z każdym dniem pójdzie łatwiej.

— Z każdym dniem? — zapytał Isouard przeżony. — I jak to długo chcecie nam wrywać zęby?

— Ano, tak długo, póki ich starczyć będzie... taka wola króla — odpowiedział Lazare.

Bracia zmartwieli. Tak im odtąd było, jak winowajcy na śmierć skazanemu, któremu oznajmiono dzień tracenia, czas się dłuży, a godziny w szalonym pędzie ubiegają.

I biednym dzieciom czas długi się w klatkach wydawał, a godzina męczarni śpiesznie jakby niespodzianie się zbliżała. Już naprzód napadało ich straszliwe drżenie, a za wniścieniem okropnego jak śmierć Lazara, bladość śmiertelna pokrywała oblicze dzieci.

— Nie pojmuję wcale — mówiła pani Lazare do swoich sąsiadek i przyjaciółek — jaka wściekłość opanowała mego męża z tem wrywaniem zębów. Co człowieka zobaczy, to mu chce wrywać zęby. A za to, przeciw swemu zwyczajowi, nie wymaga żadnej zapłaty. Jak już ludzi nie może namówić, to psom, kotom, osłom i jakie mu tylko się zwierzę nawinie, a może je złapać, wrywa mu zęby.

— Czy to prawda, kumie — zagadł cukiernik Escabeau pewnego dnia na ulicy swego przyjaciela Lazare — że codzień wyrывasz po jednym zębem dwóm synem pozostałym po straconym księciu Nemours?

— Prawda, bo taka jest wola króla — odrzekł Lazare.

— I tyś się dobrowolnie podjął tak podłego, szkaradnego zatrudnienia!?... — krzyknął Escabeau z gniewem.

— Alboż to nie jestem do tego przymuszony — odpowiedział Lazare zakłopotany. — Nie ja, to inny się tego podejmie, któryby jeszcze tych biednych chłopców bardziej męczył. Ja im coraz lżej rwę zęby; uprawiam się, jak mogę, żeby tylko o ile możliwości tym biednym książątkom jak najmniej sprawić bólu. Mnie się serce kraje, jak na nich patrzę.

Potrząsnął głową Escabeau i poszedł dalej zamysłony.

— Gdyby teraz kiedy król mnie chciał odwiedzić — mruczał — jabym się odważył wstawić za tymi biedakami. Coż oni mogą za ojca; on już odebrał swoją karę.

Hugo Michelet tak długo obchodził koło zamku królewskiego, póki nie zdybał wuja swego Coittier, kiedy tenże właśnie udawał się do króla.

— Wuju! — zawołał chłopiec — daj mi pismo królewskie, Muszę prosić króla, aby wypuścił młodych książąt d'Armagnac z żelaznej klatki i zaprzestał kazać im wyrывać zęby i żeby im wrócić pozwolił do mojej matki. Gdybym ja był się prędzej o ich nieszczęśliwym losie dowiedział, byłbym cię był już dawno o to pismo prosił.

— Myśl twoja piękna i zaszczyt ci przynosi, ale trudna do wykonania. Wierz mi, gdyby się cała Francya królowi do nóg rzuciła, nie ubłagałaby dla

dzieci księcia Nemours przebaczenia. Szczęście, że zemsta króla nie dosięgła i najmłodszego księcia; być może, że o jego istnieniu nic nie wie. Na twoją prośbę odpowie, że tylko za sobą prosić powinien, nie zaś za obcych.

— I wy, kochany wuju, nic nie możecie uczynić dla nieszczęśliwych dzieci księcia? — pytał z naleganiem Hugo.

— Nic, mój chłopcze! — odpowiedział Coittier łagodnie. — Któżby chciał się narazić na gniew możnego, silnego lwa? Idź do domu i zostaw braci d'Armagnac litości bozkiej.

Z sercem rozżalonem pożegnał Hugo wuja. A Ludwik XI odezwał się do tegoż, gdy wszedł do komnaty królewskiej, pokazując mu małe, złote pudełeczko:

— Patrz Coittier, zbiór zębów młodych lwiatek powiększa się co dzień. Niedługo piękny rząd z nich mieć będę. Nie sąż one bielsze od słoniowej kości i to bez żadnej plamki.

— Najjaśniejszy panie — rzekł Coittier surowo — zęby te kiedyś boleśniej ci dokuczą, jak gdyby były jeszcze w ustach dotychczasowych właścicieli.

— Jak to? co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Ludwik porywczo.

— Jak? tego waszej królewskiej Mości przepowiedzieć nie mogę. Bo jeszcze dobrze tego nie widzę. Lecz przypomnij sobie najjaśniejszy panie, chłopca ze znamieniem, wszakże co do słowa sprawdziła się moja przepowiednia.

— Ba! jakżeż mi mogą dokuczyć zęby spokojnie leżące w pudełku. Przypomniałeś mi chłopca ze znamieniem. Żyje on jeszcze, czy służy u cukiernika? Dotychczas jeszcze nie korzystał z mego pisma, w którym mu pozwoliłem zanieść przed tron mój prośbę, jaka mu się będzie podobiała.

Już chciał Coittier wyjawić królowi, w jakim celu chciał użyć tego pozwolenia, lecz nagle zmienił myśl i rzekł:

— Szczęśliwy ten chłopiec, ile wiem, żyje jeszcze, zdrow jest i w służbie u cukiernika Escabeau zostaje. Właściwie nie powinienby się prędzej zgłosić do waszej królewskiej mości, póki by nie zostało wydane złoto, którem wasza królewska mość tak hojnie go obdarzył.

Poczem rozmowa inny obrót wzięła; mówił król z lekarzem obszernie o zdrowiu swoim, które po interesach państwa najwięcej zajmowało monarchę.

ROZDZIAŁ XI.

Miłość braterska.

Kiedy znowu Lazare wszedł do celi książąt, Isouard zaczął błagającym tonem mówić do niego:

— Biedny mój brat Hektor taki chory. Patrzcie no, jaki blady i cierpiący. A największem jego cierpieniem jest bojaźń przed rwaniem zębów. Miej litość, dobry człowieku, nie wyrrywaj mu już zębów! nie dotykaj ich strasliwemi twemi obcęgami!

— Jabym sądził, że obcęgi moje nie powinny wam się taks traszliwemi wydawać; teraz przecie za jednym szarpnięciem już ząb wyrwany. Choćbym twego brata oszczędzić chciał, nie mogę. Muszę co dzień królowi dwa zęby od was obudwóch przynieść.

Isouard rzucił na swego brata wzrok, w którym się największa boleść i pożałowanie malowało. Wy-nędniała postać Hektora kamieńby do litości poruszyła. Po kilku chwilach namysłu odprowadził Isouard na bok Lazara i szeptał do niego prośbę następującą:

— Mnie wyrwijcie każdy dzień dwa zęby, a oszczędźcie brata mego.

Lazare odwrócił się nagle od chłopca. Olbrzym

plakał. Wzruszający rys miłości braterskiej i poświęcenia wycisnął gorące łzy z ocz zatwardziałego nawet cyrulika. I głuchy na głos ludzkości dozorca, usłyszawszy prośbę księcia, nie mógł być panem swego wzruszenia. Nastąpiło głuche milczenie. Wejrzał Bóg litościwie na braci i pewnie na cyrulika i dozorcę.

Gdyby był Ludwik XI pyszne swe komnaty na krótki tylko czas zamienił na przesiedzenie choć chwil kilku w żelaznych klatkach i sam na sobie doświadczył męki pochodzącej z wyrwania zębów, może byłby się zlitował nad dziećmi. Jest to prawdziwem nieszczęściem, że mocarze ziemscy zwykle nie doznają plag, jakie wojna, nieurodzaj, nędza i inne smutne przygody sprowadzają na ich poddanych. Możeby nie tak skoro rozpoczynali wojny, a pieniądze użyte na zbytki, posłużyłyby na otarcie łez nędzarzy.

— Mój drogi chłopcze — rzekł wreszcie Lazare drżącym głosem — a jakżeż potem, jak już zębów mieć nie będziesz w gębie? Wtedy musiałbym twemu bratu podwójną zadawać boleść i jemu zawsze rwać dwa zęby.

— O, tymczasem brat mój może przyjdzie do siebie — odpowiedział Isouard z zapalem. — Może król ochłonie z gniewu ku nam, może z innej strony jaką pomoc Bóg nam ześle i i wybawi od tych mąk okropnych. Zróbcie, o co was proszę, miły człowieku, a my będziemy modlić się za was i błagać Boga o błogosławieństwo dla was.

Nie mógł się Lazare opierać dłużej. Porozumiał się z dozorcą i wyrwał dwa zęby księciu Isouard, który w milczeniu zniósł ból, aby bratu swemu nie robił przykrości.

Hektor odgadł brata swego poświęcenie, którem go miłość braterska natchnęła; ścisnął go i całował z wdzięcznością ręce jego, nie mogąc się uspokoić nad wielką jego ofiarą.

Isouard błogiego doznał uczucia, że potrafił oszczędzić bratu tak wielkiego dla niego cierpienia, zapomniał o własnym bólu, u uwieszeniu swoim i uczuł się nieskończenie szczęśliwym.

Autorka niniejszej powieści w dzieciństwie swem czytała przykład najwierniejszej i na największe poświęcenia gotowej miłości braterskiej. Takie to wrażenie na jej umyśle zrobiło, że nigdy o tem już w życiu swoim nie zapomniała, a nawet tytuł owej książki w pamięci jej pozostał, były to: „Listy Cecylii do dzieci“.

Namyśliła się autorka, czy ma z wszystkimi okropnemi szczegółami przedstawić swym czytelnikom obraz okrucieństwa, jakie król chrześcijański w swojej nienasyconej zemście wywierał na niewinnych dzieciach. Atoli doświadczenie, jakie zrobiła, że serce ludzkie często tylko przez najmocniejsze i najwięcej goryczy zawierające lekarstwo może być uzdrowione albo ochronione od nienawiści, zemsty, złośliwości, spowodowało ją do opisu zachodzących powyżej szczegółów okrucieństwa.

Gdy Lazare, opatrzony dwoma zębami Isouarda, wchodził do królewskiego zamku, spotkał lekarza Coittier, który zagadał do niego z wyrzutem:

— Ha! czy waszmość dzisiaj swej sztuki na książkach doświadczałeś? Czy długo jeszcze waszmość będzie miał zatrudnienie i zarobek?

— Ah, panie Coittier — odpowiedział zasmucony Lazare — chętnie chciałbym być uwolniony od tego królewskiego rozkazu... litość mnie jeszcze tylko do tych nieszczęśliwych dzieci każdego dnia sprowadza.

Tu zaczął Lazare opowiadać rozczulającą scenę, której był świadkiem i w której brał udział. Samo jej opowiadanie wzruszyło lekarza. Podał pogardzanemu dotychczas cyrulikowi rękę, mówiąc:

— Jeszcze się rozmówimy.

Kiedy Lazare oddawał królowi zęby, rzekł mu tenże weselo:

— Jakże się miewają moje młode lwiątko? Czy tracą razem z zębami i złość swoją?

— Niech mi wolno będzie najjaśniejszemu panu powiedzieć — odpowiedział Lazare — że młodszy pewnie wkrótce życie zakończy, tak jest słabym. A potem niezawodnie starszy zaraz zemrze, bo zdaje się, że ci bracia żyć bez siebie nie mogą.

— Wtedy ty sobie oszczędzisz pracy, a ja zabiegów, aby mi te dwa małe koty kiedyś nie szkodziły — rzekł król oziębło.

— Czy najjaśniejszy pan każe zęby wyrywać młodszemu, pomimo tego, że zachorował? — pytał Lazare z pozorną spokojnością.

— Póki tylko będzie mógł paszczę swoją otwierać, tak — odpowiedział srogi Ludwik.

— Dobrze, Najjaśniejszy panie — rzekł Lazare i cofając się, wyszedł z komnaty.

Nazajutrz zapytał monarcha cyrulika:

— Jakże tam się miewają lwięta? wyzdrowiało młodsze?

— Przeciwnie, najjaśniejszy panie! — odpowiedział Lazare. — Choroba tak się wzmaga, że jutro pewnie tylko jeden ząb waszej królewskiej mości przyniosę. Trudno mu już obcegi zakładać w usta, kurcz śmiertelny grozi wiecznem ich zamknięciem.

— Dobrze mu tak, tak, temu małemu potworowi — rzekł król nieubłagany.

— Coittier — rzekł później król do swego lekarza — mów mi Lazare, że młodszy d'Armagnac zachorował i jest blizkim śmierci. Idźże do Bastylii, przekonaj się o jego stanie zdrowia i donieś mi o nim niezwłocznie. Bo lubo Lazare zna się od biedy na wyrywaniu zębów, toć jednak osądzić nie umie, czy

choroba jest tak niebezpieczną, żeby aż śmierć nastąpić wkrótce miała.

— Najjaśniejszy panie — tak zaczął Coittier swoje sprawozdanie po powrocie swym z Bastylii — Lazare prawdę powiedział. Wasza królewska mość sambyś to uznał, gdybyś raczył go widzieć. Nie dziw. Ciągły pobyt w klatce, w której ani stać, ani siedzieć, ani spać nie można, gdzie ciało przybiera najnienaturalniejszą postawę, brak ruchu i świeżego powietrza, niepożywne jadlo, codzienne wstrząsanie nerwów przez rwanie zęba, niepodobieństwo strawienia twardego chleba, nakoniec utrapione życie w ciągłym strachu, wszystko razem przyspiesza rozprzężenie już tak osłabionego organizmu.

Król słuchał spokojnie tego sprawozdania i bawił się przeliczaniem małych zębów, które mu Lazare codziennie odnosił.

Coittier zastanowił się, milczał kilka sekund, a potem tak dalej mówił:

— Najjaśniejszy panie! w interesie sztuki lekarskiej, ludzkości, nawet w interesie waszej królewskiej mości, pozwalam sobie zanieść do niego prośbę. Lekarz musi naturę wewnętrzną choroby zbadać, musi wiedzieć o lokalności złego i widzieć wnętrza ciała ludzkiego, aby obmyślić środki uleczenia w danych przypadkach. Uprzedzenie i zabobon opierają się uporczywie oddaniu zwłok ludzkich lekarzom, którzy tylko tajemnie i za wielką opłatą dostają zmarłe ciało dla swych studyów. Pozwól mi, najjaśniejszy panie, zabrać ciała d'Armagnaców po ich śmierci, a wielką położy wasza królewska mość zasługę dla całej cierpiącej ludzkości.

— Ach! gdyby to wszystkie prośby były tak skromne i tanie jak twoja! — odpowiedział Ludwik wesoło. — Daruję ci obydwóch d'Armagnaców, jak tylko śmierć ducha z ich ciała wyprowadzi. Jeszcze

dzisiaj dam komendantowi Bastyli stósowny rozkaz. A cóż potem robicie z ciałem pokrajanem, zaspoko-
iwszy waszą uczoną ciekawość?

— Oddajemy je ziemi, jak każde inne ciało —
odpowiedział Coittier — z tą korzystną różnicą, że
noże nasze zapewniają nas, iż nie są żywcem po-
chowane.

ROZDZIAŁ XII.

Wybawienie od złego.

Prawdę powiedzieli królowi tak Lazare, jak
i Coittier. Widocznie ubywały Hektorowi siły; bie-
dne dziecko już chleba jeść nie mogło, natomiast
wody nieustannie pragnęło, aby uśmierzyć wewnętrzną
gorączkę. Zauważył Isouard, że brat jego ukochany
coraz był spokojniejszy, że na jego pytania krótko
i bardzo słabym odpowiadał głosem, że oddech jego
był cięższy i głośniejszy, że nie jadł, za to daleko
więcej pił; były to wyraźnie zatrważające choroby
oznaki, które go przestraczem przejmowały.

— Hektorze kochany! bracie drogi! — zawołał
przestraszony — tyś chory!? podaj mi rękę przez
kratę, zobaczę czy gorąca; bo ty może masz gorączkę?

— Ach, daj mi już pokój — odpowiedział He-
ktor błagalnym tonem — tak się czuję znużony, tak
mi się spać chce.

— Weź odemnie derkę i mój kaftan, będziesz
mógł leżeć wygodniej — odparł Isouard.

— Dziękuję ci z serca! ale zachowaj to wszystko
dla siebie... Tak mi dobrze, mój Isouardzie! Tylko
mnie nie przebudzaj — odpowiedział powolnie Hektor.

— Do spania tak się zabiera, jakby to już był
wieczór, a to dopiero południe — mówił do siebie
Isouard — taki miał dziwny głos... Hektorze! — strwo-
żony zawołał znowu — jeszcze słowo tylko pozwól

powiedzieć do siebie; powiedz bracie, czy ty umierasz?...

Isouard ostatnie słowa wymówił ze łkaniem, Hektor już ich nie dosłyszał. Isouard płakał, a po chwili znowu głośno zawołał:

— Boże! mój Boże! przynajmniej Ty prośb moich wysłuchaj!

Chłopiec chciał się rzucić na kolana, lecz tylko złożone ręce w górę podnieść zdołał.

— Nie zabieraj mi jeszcze Hektora! — modlił się gorąco. — Ja nie tylko zęby dam sobie wyrwać za niego, ale i życie moje poświęcę za jego życie. Ach, niech on nie umiera! A jeżeli on umrze, to i mnie zabierz razem z nim, bo ja bez niego żyć nie mogę. Razem nas do mamy zaprowadź. Wysłuchaj mnie, o mój Boże!... Amen!...

Po tej modlitwie wejrzał na brata, oddech jego był przyspieszony, stękał, jęczał.

— Ach, gdyby przynajmniej wygodniejsze miał miejsce do leżenia. Tak blisko jestem, a nie mogę mu nic ulżyć. Ani go do siebie przytulić, jak nas mama nieraz w chorobie do siebie tuliła.

W takim okropnym strachu przeminał dzień i wieczór, noc się zbliżyła. Sen kleił powieki, lękanie o brata je roztwierało. Północ; oddech Hektora stawał się coraz wolniejszy i słabszy. Ogarnęła Isouarda okropna trwoga, powiększona ciemnością i ciszą nocy.

— Hektorze! drogi Hektorze! śpisz ty? jakże ci jest?... jedno słówko mi tylko odpowiedz! — wołał Isouard.

Żadnej odpowiedzi nie odebrał. Wołał coraz mocniej. Zawsze tylko głucho milczenie następowało.

Modlił się biedny chłopiec, płakał i wołał na przemiany, wreszcie — usnął. Obudziwszy się nazajutrz, pierwsze jego wejrzenie padło na brata — le-

żącego bez życia, pokurczonego na spodzie klatki. Gdy Loupin otwierał drzwi celi do dwóch braci, już usłyszał okropne krzyki, a otworzywszy je ujrzał Isouarda w największej rozpacz, starającego się przełamać pręty żelazne swej klatki.

— Brat mój umarł! — krzyczał — puść mnie do niego!... otwórz mi tę przebrzydłą klatkę! niech razem z nim umieram! wypuść! wypuść mnie!

Loupin otworzył klatkę Hektora, kładł rękę na twarz, ręce i na całe ciało jego i nie zamknawszy klatki, oddalił się spiesźnie, nie zważając wcale na krzyki rozpaczliwego Isouarda, który rozbijał głowę o żelazne pręty, potrząsając je obiema rękoma. Lecz niezadługo wrócił Loupin w towarzystwie komendanta Bastylli, kilku innych urzędników i lekarza.

Otoczyli w milczeniu klatkę Hektora, który był podobien raczej do zagłodzonej ptaszyny, niż do dziecka, tak był wynędzniały i zdrobniały.

Na rozkaz komendanta wyjęto zimne zwłoki Hektora, a Loupin otwierał klatkę Isouarda, który, zapomniawszy o swoim osłabieniu i drżących nogach, wyskoczył z niej i jednym sussem rzucił się na ciało brata.

— Więc umarłeś!... a mnieś tu samego zostawił? — zawołał w największym żalu, skrapiając zimną twarz Hektora łzami swemi. — A jam cię tak prosił, abyś sam do mamy nie szedł; aniś się ze mną pożegnał... Ach! ale może śmierć nie jest tak bolesną, jak codzienne wrywanie zębów..

Placz gwałtowny przerwał mu mowę; wzbudził swym żalem litość nawet w zakamieniałych sercach otaczających go urzędników. Pozwolono mu płakać i żalić się. A tymczasem komendant Bastylli wyprawił jednego posłańca do króla, a drugiego do lekarza Coittier i obom kazał oznajmić o śmierci młodszego księcia d'Armagnac.

Zjawił się i Lazare, aby wypełnić codzienny swój obowiązek, ale jak to królowi przepowiedział, dziś tylko jeden ząb wyrwał. Isouard zasiadł na stołku niewezwany, mówiąc do Lazara:

— Kochany Lazare, wyrwij mi dziś nie tylko ząb, ale wydrzyj mi i serce.

Skoro Coittier się ukazał w celi, aby zabrać ciało Hektora, nastąpiła trudna do opisania scena, która skończyła się na zemdleńiu Isouarda.

— Uspokój się, dziecko nieszczęśliwe! — mówił Coittier, kładąc rękę na głowę pozbawionego zmysłów Isouarda.

— Wkrótce połączysz się z twym bratem. Cierpienia duszy i ciała, których doznałeś, najsilniejszego męża wtrąciłyby przedwcześnie do grobu.

Lekarz znowu natchnionym mówił duchem.

Dwa razy jeszcze zaniósł Lazare królowi zęby Isouarda, trzecią razą przyszedł z próżną ręką i wiadomością, że zatrudnienie jego w Bastylii ze śmiercią starszego księcia ukończone zostało.

Kilka dni później kazał Coittier, w zmroku wieczornym, obudwóch nieszczęśliwych książąt Nemours ziemskie zwłoki, pocięte nożem anatomicznym, pochować na cmentarzu St. Sulpice, podług życzenia Isouarda w jednej trumnie.

* * *

Jeżeli nie zawsze na ziemi dobre bywa wynagrodzone, a złe zostaje bez kary, jest to właśnie zakład wiecznego po za tym światem istnienia naszego. Tam sprawiedliwość Bozka zrówna to, co na ziemi nie było w porządku. Dla tego nie powinno by nas to zbałamucić, gdyby niechrześcijańska żądza zemsty Ludwika XI rzeczywiście była przyspieszyła śmierć synów księcia Nemours w sposobie wyżej opisanym. Raczej należy łasce Bozkiej, aniżeli obra-

chowaniu ludzkiemu, lub litości czulego serca, przypisać, jeżeli się inaczej stało, jakby sobie tego król życzył. Bo chwycił się Coittier środka bardzo śmiałego, zwłaszcza dla osłabionego i w rzeczy samej blizkiego śmierci Hektora. Lazare bowiem za rozkazem lekarza Coittier wmieszał tajemnie do wody małego księcia opium, które mogło go uśpić na wieki.

Pomimo niepewnego skutku, Coittier użył tego cstatecznego sposobu, aby nieszczęśliwego od dalszych uchronić tortur. Zamiast więc, jak to Coittier królowi oświadczył, Hektora oddać pod nóż anatomiczny, użył natychmiast środków stósownych do obudzenia go ze snu przymusowego. Słabe i mało nadziei robiące dawał oznaki życia Hektor i któżby się mógł po takich mękach czego innego po nim spodziewać. Coittier nie chciał Isouarda tak spiesźnie pozornie uśmiercić, ażeby nie wzbudził podejrzenia w królu; lecz rozpacz, jaką Isouard po pozornej śmierci brata okazywał, zniewoliła lekarza do wykonania wcześniej zamiarów wypływających z litośnego jego serca. Podczas kiedy odwożono trumnę, która miała zawierać zwłoki książąt, niesiono ich w lektyce do wiejskiego ustronia w bliskości Paryża, własności lekarza.

Kiedy Isouard pierwszy raz oczy otworzył, zdało mu się być w niebie. Tuż obok niego leżał Hektor, tak przez niego oplakany, blady wprawdzie, lecz uśmiechający się. Przy łóżku siedziała pani Michelet, z kubkiem napoju w rękę, który łyżeczką w usta wpuszczała obydwom osłabionym książętom. Koło okna bawiła się Amelia z najmłodszym ich bratem; do uzupełnienia tego obrazu szczęścia potrzeba było jeszcze Heleny.

Isouard wodził zdziwionym wzrokiem w okół siebie, poczem nie dowierzając oczom swoim przy-

mknął je; po chwili znowu spojrzał na brata; Hektor wyciągnął do niego wychudłą rączkę i słabym głosem rzekł:

— Nieprawdaż, że tu się wybornie leży?

Kto tyle miesięcy nie leżał w miękkiej pościeli, pojmie to zapytanie dziecka, które z bratem tak długi przeciąg czasu nie mogło ani siedzieć, ani stać, ani leżeć. Bo czegoż jeżeli nie spoczynku było im potrzeba po takich długich męczarniach? Spoczynek ten na miękkich puchach, w jasnym pokoiku, w miłym towarzystwie, błogiem uczuciem nappełnił braci po ponurem więzieniu Bastylii i pobycie w klatkach.

Pani Michelet jak najstaranniej ich pielęgnowała. Coittier odwiedzał ich często, dzielił radość swej siostry, widząc ich do sił powracających.

Gdy już dostatecznie wypoczęli i zaczęło im się nudzić w łózkach, pozwolono im wstać; zrazu na krótki czas, później na dłużej, lecz chodzić im było trudno. Za długo nogi i reszta członków było pogiętych, poranionych i nadwreżonych. Choć Coittier nie zaniedbał pilnie kazać ich esencyami wzmachającymi nacierać, to przecież nie tak prędko można było usunąć skutki tyrańskiego obchodzenia się z niemi.

Mały ich brat lepiej chodził od braci starszych, którzy do najkrótszej wędrówki krokwi lub kija używać musieli i zębów miał więcej, niż oni. Hektor posiadał, dzięki poświęceniu się brata, jeszcze połowę swoich, ale Isouardowi zostało się tylko kilka trzonowych; z tej przyczyny musiał tylko żywić się płynem pokarmami.

Pomimo tego serce jego przepełnione było najwyższą wdzięcznością dla Boga i ludzi, swych wybawicieli. Bo często uczy nas dopiero nieszczęście cenić dobro, któregośmy nie umieli poprzednio uznawać.

Przy wiejskiem lekarza ustroniu był ogród wysokim murem opasany; tam to z początkiem jesieni dzieci nasycali się słodkimi owocami i świeżem do woli oddychały powietrzem. Tam to Isouard i Hektor zupełnie do sił przyszli.

Ponieważ dwaj bracia umarli cywilnie, przeto byli zniewoleni złożyć godność książęcą i nazwisko d'Armagnac i Nemours; życzyli sobie przybrać nazwisko Micheletów, atoli sprzeciwił się temu Coittier.

— Ja mam prawo — mówił, uśmiechając się — wam nadać nazwisko, przywróciwszy was do życia tego świata. Chciejcie mię wynagrodzić za moje starania, i moje noście nazwisko, bo kiedyś i cały mój majątek po mnie odziedziczycie.

Szcześnie połączonej familii byłoby zupełne, tylko jej Heleny nie dostawało. Coittier wywiedziało się o niej i uspokoił braci o jej losie. Helena prowadzona była łagodnie, a do wyrzeczenia ślubów zakonnych zmusić jej nawet nie mógł sam król, bo jeszcze za młodą była.

Odtąd upływały dni, miesiące i lata bez żadnego ważnego wypadku. Ludwik XI miał zawsze do czynienia z licznymi swoimi nieprzyjaciółmi i zapominał o tych, których pokonał i śmiercią ukarał.

Hugo czyli Jasmin jeszcze był u cukiernika Escabeau, który dobrego tego chłopca na godnego siebie sposobił następcę i którego tak on, jak i jego żona, pokochali jak syna.

Kilka razy do roku wolno mu było matkę, siostrę i pozostałe po księciu d'Armagnac dzieci odwiedzać; zalecono mu milczenie o ich życiu; sumiennie je zachował, bo wiedział, że od niego istnienie ich zawisło. Uchodzili on w porozumieniu najmłodszego brata za krewnych lekarza Coittier.

Słusznie przedsięwzięto takie ostrożne postępowanie przez wzgląd na przyszłość.

Jeszcze jedna, niespodziewana radość spotkała wdowę Michelet, albowiem dnia jednego Coittier przyprowadził jej dawno znikniętego, a nawet uznanego za zmarłego starszego jej syna. Został on uratowanym, cudownym sposobem, od stryczka Tristana i umieszczony jako majtek na okręcie.

Po długich i niebezpiecznych podróżach zawinął szczęśliwie do Francyi, udał się do Paryża, wynalazł swego wuja Coittier, który go umieścił z matką w wiejskiem swoim ustroniu i zastępcą swoim w niem mianował.

Zaprowadzimy jeszcze na zakończenie tej powieści młodych naszych czytelników do ostatniej rezydencji Ludwika XI.

ROZDZIAŁ XIII.

Smutny z jednej, a z drugiej strony
wesoły koniec.

Ludwik XI, po części gwałtem, a więcej jeszcze podstępem i zdradą zwyciężył wszystkich swoich przeciwników, nawet księcia Burgundyi, Karola Śmiałego i ich posiadłościami państwo swoje, już tak obszerne, jeszcze rozprzestrzenił. A przecież w pcciechy i przyjaciół najuboższym był człowiekiem w całym kraju. Najmniej czułością obdarzony człowiek, widzi w żonie i dzieciach największy swój skarb. Nie był takim Ludwik XI, on tak mało swoim zaufał, jak ich kochał. Okazywał się zawsze ostry i bez serca dla nich, wywdzięczali mu się równemi uczuciami; najniechętniej i tylko zmuszony zbliżał się jedyny syn i następca tronu do swego ojca króla i był od niego zawsze z wyrzutami albo ostremi naganami przyjmowany. Z ciągłej obawy przed zasadzkami, mordercami, Ludwik XI opuścił rezydencyą swoją w Paryżu, a zarazem rodzinę swoją i przeniósł się do od-

ległego, samotnie w pośród niezmiernego boru wybudowanego zamku, nazwanego „Plessis les Tours.“ Równie jak Bastylia, był on nawet daleko warowniejszem i ściślej strzeżonem więzieniem. Dwie drogi wiodły przez bor do zamku. Przestrzeń znaczna na okół niego została ogołocona z drzew, aby już z daleka można rozpoznać zbliżającego się nieprzyjaciela, by go kulą, strzałą lub kamieniem z procy przywitać. Za drogowskazy do królewskiego zamku liczne służyły szubienice, które po brzegach obu dróg rozstawione były i obciążone trupami tych nieszczęśliwych, którzy obudzili podejrzenie na siebie w królu lub Tristanie.

Osiemnaście tysięcy zdradliwych dołów założonych było, ażeby wzbraniały przystępu nieprzyjacielskim hufcom. A kto o kilka tylko kroków zboczył od wytkniętej drogi, wpadł w te wilcze jamy.

Zamek sam okolony był głęboką fosą, wysokim murem, wielkimi małemi drzwiami opatrzony, mostami zwodzonymi i parkanem z mocnych żelaznych krat zabezpieczony. Oprócz tego wierzchołek murów najeżony był żelaznemi strzałami. Takież przeszkody założono na brzegach fosy. Nadto wszędzie znajdowały się żelazne strażnice, z których niewidzialnie strzelano na każdego, kto się nieostrożnie do zamku zbliżał. Zamek zaś sam mało miał i to jeszcze wysokich i kratami opatrzonych okien, co nadawało całej tej budowie pozór bardzo smutny, a wewnątrz był nader ponurym. Dziedziniec zamkowy, troistym opasany łańcuchem żelaznym, na którym zawieszone były kule i pierścienie do zakładania ich na nogi winowajców. Nazywano je w sposób szyderczy córeczkami króla. Czterdziestu łuczników stało na straży dzień i noc we fosie i mieli rozkaz strzelać na każdego, ktoby przed otwarciem bramy zbliżył się do zamku. A otwierano bramę dopiero blisko południa.

Ponieważ Ludwik XI nie ufał swoim ziomkom, przeto wewnątrz zamku oddał pod straż czterystu najemnym żołnierzom, szkockim łucznikom; ci obsadzali sobą bramy, każdego wchodzącego starannie przetrząsali i częste odbywali patrole.

Ludwik, raz już paraliżem rażony, doznawał, jak wszyscy tyrani i źli ludzie, wielkiej bojaźni przed śmiercią.

Ta bojaźń tak się wzmogła w ostatnich latach jego życia, że wysechł jak szkielet i sypiać wcale nie mógł.

Monarcha, który dla siebie był zawsze bardzo oszczędnym, trwonil teraz niezmierne sumy na lekarzy, aby tylko wszelkich sposobów lekarskiej sztuki na przedłużenie mu życia użyli. Dowiedzionem jest, że sam Coittier odebrał od niego w jednym roku 98 000 talarów, który oprócz tego miesięcznej pensyi dostawał 10 000 talarów. Tego lekarza wyniósł na godność pierwszego ministra królewskiej izby obrachunkowej, innemu lekarzowi, Angelo Catto, nawet biskupstwo Vienne ofiarował. Ach tak! nie jeden monarcha dałby miliony, żeby tylko mógł żyć dłużej. Nie tylko sztuki lekarzy, ale daleko skuteczniejszej łaski nieba, starał się sobie zjednać w strachu swoim przed śmiercią. Zamiast przecież przez szczery żal i pokutę ją sobie pozyskać, sądził, że ją prośbami drugih ściągnie na siebie.

Żył w owym czasie sławny święty, imieniem Franciszek Martorello, czyli z r'auli, którego modlitwom przypisywano szczególną siłę i skutek. Na niego zwrócił Ludwik XI oczy swoje, bo go najzdolniejszym uważał do pogodzenia siebie z Bogiem. Lecz święty ten ociągał się z udaniem się do Ludwika XI; na jego zaproszenie potrzeba było dwukrotnej usilnej prośby papieża, aby go nakłonić do podróży do Plessis les Tours.

Skoro Franciszek z Pauli ukazał się przed królem, rzucił mu się tenże do nóg i błagał o uproszenie dłuższego życia. Święty odpowiedział, że wielbi dobroć i cierpliwość Boga i modlić się za króla przyrzekł. Obdarzył go król bogatą jałmużną, kazał dwa klasztory budować dla niego i uczniów jego, jeden w obrębie parku w Plessis les Tours, drugi przy zamku d'Amboise.

Atoli święty nie zdołał króla odwieść od niesprawiedliwości i okrucieństwa. Cóż mogły pomódz w takich okolicznościach najgorętsze modły i najhojniejsze jałmużny?

Oprócz Franciszka z Pauli sprowadził Ludwik całe zastępy pustelników i pobożnych i obsadził nimi swój zamek; oni całe dnie i noce pędzili na modłach o przedłużenie życia królowi. Otoczył się nakoniec Ludwik relikwiami, sprowadzonemi z całego świata, które miały śmierć od niego odstraszyć. Lekarze nie wiedzieli już, jakie mu mają sporządzać lekarstwa; używali najmocniejszych, najdrażliwszych i najsprzecznějších środków; wszystko napróżno.

Lękał się Ludwik XI cierpiący swój stan wyjawiać przed światem i starał go się najusilniej ukrywać. W tym celu kazał z najodleglejszych krain sprowadzać psy do polowania, konie, rzadkie zwierzęta i drogie materye. Zwykle unikał ten monarcha ciekawego wzroku, a kiedy się miał obcym osobom ukazać, zawieszał na wychudzone swoje ciało najpiękniejsze ubiory, które mu miały nadać pozór zdrowia.

Jednego dnia w sierpniu r. 1483 Coittier wchodził do apartamentów króla o zwykłej godzinie rano. Doleciał lekarza z gabinetu króla dziki hałas, psów szczekanie, latanie jakieś, dziwne syczenie, krzyki, wołanie i śmiechy.

— Czyby to król umarł? — pytał siebie Coittier

zdziwiony, nie umiejący sobie inaczej tego hałasu wytłomaczyć. A gdy drzwi otworzył, wypadła na niego sfora psów, ledwie go o ziemię nie powaliła, przez nogi mu biegnąc i swoją zdobycz tuż przy nim dławiąc; w poszczutej zwierzynie poznał zdumiony Coittier szczura.

Król na łożu w pół siedział, w pół leżał. Nie można było poznać na jego zwiędłej twarzy, czy śmiech, czy boleść ją we fałdy ściągnęła. Oprócz najzaufanego lokaja, miał jeszcze Ludwik przy sobie *ex-golarza* Olivier i srogiego Tristana, którzy krzykami, wołaniem i śmiechem najokropniejszą robili wrzawę.

— Jak to? — odezwał się Coittier, ujrawszy kilka już zagryzionych szczurów — wasza królewska mość masz i cierpisz w swoich pokojach tak obrzydliwe zwierzęta? Czy to już nie ma innych sposobów wygubienia ich jak szczwaniem psów?

— Myśmy to polowanie umyślnie urządzili — odpowiedział Olivier le Daim — aby króla rozerwać i uprzyjemnić mu chwil kilka. Te szczury są niezwykłej wielkości i żywcem złapane, aby tu zaszcute być mogły.

Więc Ludwik konający prawie, a jeszcze był lubownikiem okrutnych rozrywek.

— Polowanie się skończyło — rzekł król, wpadając w zły humor — wyrzucicie szczury, wypędźcie psy i zostawcie mnie samego z Coittier.

Skoro tylko wszyscy, oprócz lekarza, wyszli, rzekł król do niego:

— Coittier, jakże mnie dziś znajdujesz?

— Wyśmienicie, najjaśniejszy panie! — odpowiedział Coittier szydłczo — bo kiedy wasza królewska mość myślisz o polowaniu, to i lepiej się czuć musisz.

— Nie szydź! — rzekł groźnie Ludwik. — Widzę to aż nadto dobrze, że wasze proszki, pigułki,

esencye i mikstury nic mi nie pomagają, a może nawet koniec mój przyspieszają. Liczę teraz więcej na skuteczniejszy i nie tak źle smakujący środek, który memu najmiłszemu kuzynowi, królowi Hiszpanii, zawdzięczam. Jest to prawdziwy ząb św. Piotra apostoła, którym król hiszpański mnie zaszczycił. Tam, w tej złotej szkatułce, z relikwiami leży. Podaj mi go tu, niech się jego widokiem wzmocnię.

Coittier poszedł i po krótkiem wybieraniu pomiędzy mnóstwem drobnostek leżących na stoliku, przyniósł królowi małą szkatuleczkę.

— Ha! cóż to jest? — zawołał Ludwik rozgniewany, spojrzawszy w otworzoną szkatułkę. — To nie jest ząb św. apostoła! To są... to są...

— No, to są także relikwie męczenników — odpowiedział Coittier, jeszcze szydząc — i to jeszcze najniewinniejszych męczenników. Dobrzeby wasza królewska mość zrobił, gdybyś zawsze te zęby przy sobie miał, abyś, gdy śmierć nagle waszą królewską mość zaskoczy, mógł je oddać właścicielom, których gorzej niż poganie apostoła Piotra, wasza królewska mość torturowałeś. Niezawodnie wasza królewska mość małych Armagnaców pierwszych spotkasz, wstępując do wieczności, którzy od niego wymagać będą swej własności.

Coittier przepowiedział królowi, że powyrywane zęby małych biednych książąt bardziej, go kiedyś porania, niż gdyby były w ich szczękach pozostały. Ażeby ta przepowiednia się sprawdziła, postarał się o to sam Coittier. przypominając królowi srogie jego okrucieństwo, którego już niczem naprawić nie mógł.

Niechaj się czytelnik nie dziwi, że Coittier w ten sposób z okrutnym Ludwikiem mówić się odważył. Król, blizki śmierci, podobnym był do starego, słabego i chorego lwa w bajce, z którego każdy mógł się natrząsać. Zresztą znał Coittier swoją władzę

nad królem. a zatem tak on, jak i kolega jego, Angelo Catto, bez ogródki z nim się z największą surowością obchodzili. Ludwik wpadł w najokropniejszy gniew przeciw swemu nieproszonemu kaznodziei, którego obsypał złotem i wysokiem dostojęństwem obdarzył, że śmiał mu przywodzić na pamięć obraz dwóch Armagnaców, męczonych przez niego najwyszukańszymi katuszami i obudził w nim sumienie, które mu śmierć strasliwszą w obecnej chwili, niż kiedykolwiek, wystawiło.

— Podły łuzalcze! niewdzięczny nikczemniku! — krzyczał król, nie posiadając się ze złości — co mi przeszkadza, żebym tu Tristana przywołał i ciebie w oczach moich powiesić kazał?

— O wierzę — odpowiedział nieustraszony Coittier — że może mnie którego dnia tak królu przesłesz do wieczności, jak już wielu tam przesłałeś. Ale przysięgam waszej królewskiej mości, że mnie ani tygodnia nie przeżyjesz.

Słowa te nagle gniew króla uśmierzyły, głos króla stał się miękkim i żalonym:

— Coittier, miej litość i cierpliwość dla twego króla. Nie dręcz mnie tem, co się już odmienić nie da; raczej staraj się mnie chorego biednego wzmocnić, a wynagrodzę cię po królewsku.

— Wasza królewska mość sam jesteś tej sceny przyczyną; dla czego zachowujesz między swemi kosztownemi rupieciami te zęby nieszczęśliwych książąt? Sądzę, że znajdujesz królu przyjemność w pamiątkach twojej zemsty.

— Weź je sobie razem z szkaulką. Ja zupełnie o nich zapomniałem.

Kilka dni po tym wypadku zgon króla przyspieszał się wyraźnie, lecz nikt nie śmiał oznajmić mu tego. Olivier, dawniejszy golibroda Ludwika, postanowił наконец być tym posłannikiem Hioba do swego

dobroczynicy. Zbliżył się w towarzystwie lekarza Coittier i świętego Franciszka z Pauli do królewskiego łoża boleści i rzekł z pospiechem, ale lodowatym tonem, do monarchy!

— Najjaśniejszy Panie! Nie pokładaj już żadnej nadziei w tym świętym człowieku. Zgon twój blizki. Myśl tylko Wasza Królewska Mość o rachunku z swoim sumieniem, bo już nie ma żadnego dla Ciebie ratunku.

Po tem przemówieniu egzolarza, król spojrzał zapytującym wzrokiem na Świętego i na lekarza. Agdy wzruszeniem ramion przywtórzili słowa Oliviera, rzekł król słabym głosem:

— Nie jest ze mną tak źle, jak myślicie; Bóg mi pomoże.

Trzydziestego sierpnia 1483 spieszyła gromada wieśniaków obu płci rozmaitego wieku. w świątecznych szatach, upstrzona kwiatami, do królewskiego zamku Plessis les Tours. Już to po kilka razy się powtarzało, aby konającego monarchę widokiem wesółych, tańczących i śpiewających wieśniaków rozweselić. Rozumie się, że ta zabawa nie z własnego ich popędu wynikała, lecz na rozkaz najwyższy urządzaną bywała. Pomiedzy tymi, którzy dziś z powinności tańczyli, bawili się i śpiewali, mieścili się z pozwoleniem lekarza Coittier, Isouard i Hektor, z najmłodszym ich ośmioletnim bratem i dzieci rzeskiej jeszcze pani Michelet. Chłopcy wyrosły na młodzieńców, Hektor tylko upadał na jedną nogę i to zdradzało przesiedzenie jego kilkomiesięczne w okropnej żelaznej klatce.

Coittier uwiadomił ich, jak mało król jest szczęśliwym i jakie męki znosić musi za karę swego okrucieństwa. Pozbywając się nawet cienia zemsty i chcąc nauczyć się cenić własne szczęście, chcieli się sami przekonać o smutnym żywocie Ludwika.

Już widok zamku jego i urządzeń obrony jawnym był dowodem, jak wielką bojaźnią król był przejęty.

— Daleko u nas piękniej — rzekł najmłodszy Armagnac.

— A mnie daleko mój chleb lepiej smakuje, niż królowi wykwentne jego śniadanie — mówiła Amelia.

— Będiesz tańczył Hektorze? — zapytał Hugo, który tam także przybył, wskazując na wykrzywioną nogę swego przyjaciela.

— A naturalnie! — odpowiedział Hektor wesoło. — Ja zamyślam najwyżej z was skakać i ze słusznych powodów. Ręczę, żeby Isouard wolał mieć nakrzywioną nogę, niż być wszystkich zębów pozbawiony.

— Jeszcze kontent jestem, że mi kilka zębów podrosło i sędzę, że mam ich więcej niż król, choć nasze zęby chowa w pudełku.

— Cicho! — rzekł ktoś. — Nasz przewodnik ustawia taneczników. I my musimy stanąć w rzędzie. Dadzą nam znak ze zamku, gdy król się ukaże, kiedy mamy rozpocząć śpiew i taniec.

Po chwili otworzone zostało okno w zamku i ukazała się widocznie w niem ręka, która jakieś dawała znaki, jak się zdawało, nie bardzo zachęcające. Jeszcze tanecznicy stali w pogotowiu, niepewni, czy rozpocząć już pąsy, kiedy na najwyższej wieży zamku rozwinęła się czarna chorągiew.

— Król umarł! — zawołał przewodnik taneczników z radością.

I człowiek ten skakał i śpiewał jak szalony. I wszyscy, co z nim byli, śpiewali, skakali, nie zważając bynajmniej na znaki dawane im z zamku, aby poprzestali tej wesołości. Godzien politowania monarcha, którego zgon takiego radosnego uniesienia nabawia poddanych!

Gdy później Coittier przyszedł do zebranego grona, potwierdził wiadomość o śmierci Ludwika XI., pokazał szkatułkę z zębami i rzekł do Isouarda i Hektora.

— Król wam przysłał mały upominek.

Tak w rzeczy samej było upominek... okropny i przypomnienie mąk przecierpianych i poświęcenia miłości braterskiej.

Hektor na widok tych zębów rzucił się Isouardowi na szyję z płaczem, mówiąc:

— Otóżto dowody twojej miłości i wielkiego poświęcenia twego dla mnie! Ta złota szkatuleczka powinna jako świętość w naszej rodzinie być zachowaną.

— Mam nadzieję — odezwał się Coittier — że nowy król przywróci wam godność książęcą; a kto wie, może wam i cały majątek ojcowski zwróci, albo choć część jego.

— Nie, nie — odpowiedzieli jednomyślnie bracia. — My zawsze twoje nazwisko nosić będziemy, jeżeli na to przyzwolisz. Nie skłonisz nas nigdy do tego, abyśmy mieli kiedy wyjawić sposób naszego wybawienia z Bastylii, a tym sposobem narazić ciebie na odpowiedzialność. Tak, jak jesteśmy, czujemy się szczęśliwi; wycierpieliśmy okropne tortury jako d'Armagnacowie i książęta Nemours; dobrowolnie nie wystawimy się raz jeszcze na podobne niebezpieczeństwo!

— Niechże i tak będzie! — rzekł Coitter rozrzewniony. — Majątek wam zapewniłem wielkimi sumami, które mi król dawał za leczenie go; uważałem te pieniądze jako wynagrodzenie za wydartą wam spuściznę po ojcu.

Po śmierci króla Ludwika XI. wypuszczono Helenę z klasztoru. Dorosła już teraz dziewczyna ujrzała braci swoich dorodnymi młodzieńcami, a najmłodszego swego brata pięknym chłopcem. Księżniczka

nie wiedziała nic o przeszłych mękach swych starszych braci, ani o ich mniemanej śmierci; powitała Isouarda i Hektora, jako i najmłodszego Armagnaca, imieniem braci i najtkliwszem pocałunkami ich okryła.

— Aha! widzicie — rzekł mały d'Armagnac do swych braci — że jesteście mymi prawdziwymi braćmi, jak mi to zawsze przecucie szeptało, luboście się ciągle tego zapierali.

— Tak, jesteśmy twymi braćmi d'Armagnac, książęta Nemours — odpowiedział Isouard — niechaj węzeł miłości braterskiej zawsze nierozzerwany między nami pozostanie. Lecz z wybawieniem naszym z okropnych żelaznych klatek i od niechybnej śmierci, wyrzekliśmy się imienia d'Armagnaców i godności książąt Nemours. I tak musi pozostać, jeżeli nie chcemy być wiarołomnymi i zdrajcami naszego dobroczyńcy Coittier.

Tak pozostało. Następca Ludwika, ostatniego potomka płci męskiej domu Nemours obdarzył dużą częścią ojcowskich posiadłości, któremi się z braćmi starszymi wspaniałomyślnie chciał podzielić.

— Niel — odparli bracia — dom d'Armagnac-Nemours nie powinien być działami rozdrobniony. Ciebie uważamy za jedynego potomka płci męskiej książąt Nemours, ty więc starać się powinieneś przywrócić mu blask książęcy i chwałę imienia; my w ukryciu szczęścia używać będziemy. Będziemy ci radą i obroną, jakeśmy to drogiej naszej matce na jej łożu śmierci przyrzekli; lecz przebywszy takie gorzkie próby losu, wrócić do godności książęcej nieagniemy!

Odtąd trzy nazwiska: d'Armagnac, Michelet i Coittier, nigdy nie były rozłączone. Spokojnie przeżyli dni życia, żadnym już smutkiem nie zamucone, z godny Coittier i siostra jego odmłodnieli w szczę-

ściu swych wychowañców. Hugo-Jásmin, spadkobierca kunsztu i majątku małżonków Escabeau, od czasu do czasu sztuczne i smaczne swe łakocie przysyłał rodzinie i często ją odwiedzając, swym wesołym i dowcipnym umysłem rozweselał.

* * *

Plessis les Tours już nie istnieje, a następcy Ludwika XI. skarby tego swego przodka, które w tak okropny sposób przez całe swe życie nabywał opuścić byli przymuszeni. Dziś jeszcze wzbroniony im jest wstęp na ziemię pięknej, potężnej i wielkiej Francyi. Dziwne i niezbadane są wyroki Boże!

Historya i potomność sędzi czyny Ludwika XI., z których największa liczba w czarnej księdze odwiedzonego Sędziego zapewne jest zapisaną.

